Nr. 16. Warszawa, dnia 20 (8) Kwietnia 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka.* Do styryjczyków. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* A. Świętochowski. Duchy. Część druga: Moronowie (ciąg dalszy). — *Badania naukowe:* Studyum o postępie, p. L. Krzywickiego. — *Życie społeczne.* Listy z Paryża, p. W. Bugiela. — Z Galicyi, p. Cho. — Pamiętnik. — W dali. — *Sprawy ekonomiczne.* Cel i drogi gospodarki nowoczesnej, I, p. S. Z. Dańskiego. — Gorzelnictwo wobec monopolu, p. Drog. — O prawdę (dokończenie), p. Napoleona Roubę. — Kronika. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

DO STYRYJCZYKÓW.

Powrót do łaski monarszej, honory odbierane od cesarza, święto narodowe, w lwiej części wyprawione przez samego panującego dymisyonowanemu przezeń kanclerzowi — a na dnie tego wszystkiego odpędzenie Capriviego, od pół roku już faktem spełnionym będące — wszystko to korzystnie wpłynęło na humor, stan etyczny i swadę krasomówczą ks. Bismarka. Już do studentów niemieckich z cesarstwa mówił on d. 1 kwietnia spokojnie, bez poniżającego samolubstwa, zawiści i gniewu, i powiedział niejedną rzecz rozsądną. Teraz znowu d. 15 b. m. do studentów styryjskich z Hradca i delegatów z innych uniwersytetów austryackich miał mowę, która przedmiotowością swoją, naukową jakby powagą uderza, a myślami swemi i spostrzeżeniami zwrócić na siebie może nawet uwagę statysty, polityka *in actu*, zwłaszcza w monarchii austryacko-węgierskiej.

Na rozsądny, wcale zręcznie, potoczyście, w duchu wierności dla Austryi trzymany adres młodzieży jubilat, po zastosowanem do chwili podziękowaniu, miał wykład o potrójnem przymierzu, o niemcctwie austryackiem i stosunku Austryi do Niemiec, o obowiązkach niemców austryackich względem państwa, w którem żyją, o wielkiem znaczeniu dynastyi w życiu zwłaszcza monarchii austro-węgierskiej, wreszcie o zachowaniu się styryjczyków wobec słowian.

Jest to osobliwem zrządzeniem losu i boskiej Opatrzności — mówił książę — iż ten wielki obszar Europy środkowej długie wieki rozdzierany i szarpany przez walki i wypadki losowe, ostatecznie za dni naszych znalazł się napowrót w dawniejszej swej potęgowej jedności. Dzisiejsze przymierze potrójne ogarnia prawie taki sam obszar, na jaki prawa swe rozpościerali następcy Karola Wielkiego, po oddzieleniu się Galii, dzisiejszej Francyi.

W dawniejszem cesarstwie rzymsko-niemieckiem wiek żaden nie upłynął bez zaciętych walk wewnętrznych. Tak działo się wówczas wszędzie, nawet tam, gdzie państwo miało dla siebie jednolitą narodowość, jak we Francyi, w Anglii, we Włoszech, cesarstwo zaś było mozaiką z ludów przeróżnych i z niemców złożoną. „Nie powinniśmy rozpaczać o przyszłości zespalającej siły z tego tylko powodu, że w ciągu ostatnich tysiącoleci nieraz braliśmy się za łby." Nie powtórzy się to już nigdy. Znaleziono formę, w której doskonale obok siebie żyć można i której świadomie nikt rozbijać nie zechce. Historya sama zmusza do wewnętrznej jedności z państwem austryackiem. Przy dzisiejszym ustroju Europy bez wzajemnego trzymania się siebie, ani Niemcy, ani Austrya nie mogłyby spokojnie spojrzeć w przyszłość. Państwo odosobnione miałoby zawsze przeciwko sobie koalicyę; przymierze potrójne może zawsze o sobie mówić, jak owo godło szkockie „Nemo me impune lacessit." (Nikt mnie bezkarnie nie szarpie) i potrafi się obronić. Podstawą związku, utrzymującego pokój w Europie, jest zbliżenie się do Austryi — i trzeba tę zażyłość pielęgnować. Im silniejszym będzie wpływ niemców w Austryi, tem silniej zacieśniętemi okazywać się muszą węzły między obu mocarstwami.

Niemiec z państwa wschodniego (*Ostreich*) nie popchnąłby go nigdy do walki z nowem państwem zachodniem (*Westreich*), jak książę Bismark nazwał cesarstwo niemieckie. Trzymać potrzeba z dynastyą, bo wszędzie polityka zagraniczna głównie od dynastyi zależy. Najlepiej przysługuje się niemiec austryacki trójprzymierzu, gdy wiernie trzyma się swojej własnej dynastyi—i to więcej sercem, niż jurystycznym rozsądkiem. W Austryi nie podobna oddać się wyłącznie jednej tylko narodowości; w Austryi, jak na Węgrzech, jak w Poznańskiem i w Prusiech, dopiero rozwaga uczy wzajemnej tolerancyi. Walka jest prawem narodów; jak w naturze, tak i tu bez walki nie ma życia. Ale gdy się żyje pod wspólnym monarchą, potrzeba walczyć łagodnie, przedmiotowo, bez czczej nienawiści. „My (niemcy) tutaj w cesarstwie jak i tam w Austro-Węgrzech, moglibyśmy wojować z nieco większą chrześciańską dobrocią"—wydał wyrok na samego siebie ten żelazny książę, który nie pojmował nigdy walki bez ognia i miecza, bez kłów i pazurów—właśnie przeciwko tym, którzy wobec niego stać musieli rozbrojeni.

Oprócz chrześciaństwa są i węzły wspólnego obywatelstwa—ciągnął mówca—trzeba i tutaj dobroci. „Nas germanów Bóg już od kolebki uczynił silniejszymi, lepiej wyposażonymi w męzkość. Jak w naturze, tak i w konstelacyi politycznej Europy pierwiastek męzki spotyka się z żeńskim. Germanin bez domieszki celtyckiej lub słowiańskiej staje się mnichem w klasztorze i drze się tylko jeden z drugim; wobec zaś celtów i słowian jest siłą przewodnią jak mąż w małżeństwie. Słowianin ma wdzięk, spryt, przebiegłość, zręczność; ale niemiec po swej stronie ma to, co nadaje wagę rzetelną życiu—i wypada mu też umieć wyrozumiałość, gdy ma pewność wyższości i zwycięztwa. Nie może być inaczej, mianowicie w Austryi. Potrzeba tu jeszcze większego niż dotychczas przywiązania do dynastyi. W ciągu 30 lat przekonał się p. Bismark jak ważnym jest czynnikiem dynastya, która się wżyła w naród. Dynastya austryacka ma, słabo licząc, cztery wieki; niejedno już obie strony ze sobą przeżyły, ale ostatecznie trzeba żyć, jak w rodzinie, która nie zawsze cieszyć się może spokojem.

Po tem upomnieniu wzniósł książę toast na cześć Franciszka Józefa, ducha niemiec-

kiego, nadziei nierozerwalnego związku z Austryą i toastem zakończył.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Li-Hung-Czang podpisał w samo święta wielkanocne preliminarya pokoju z Japonią, a uczynił to podobno dopiero pod naciskiem *ultimatum*, które zostawiło mu było tylko 24 godziny do namysłu. Pokój, rzecz prosta, ostatecznie jeszcze nie zawarty, stanął na warunkach łagodniejszych, szczególnie co do wynagrodzenia kosztów wojennych. Jedni podają 200, inni tylko 100 milionów jenów lub dolarów—o *taëlach* nie ma mowy; w najgorszym wypadku zatem zapłaciliby chińczycy ledwo połowę tego, na co ich żądania japońskie skazywały jeszcze przed nowym rokiem. Ustępstwa terytoryalne na lądzie mają być ograniczone do samego półwyspu Lia-Tong, tj. odcinka, jakiby powstał po przeprowadzeniu linii łączącej ujście Da-jan-ho z ujściem Liao-ho; na morzu obejmują Formozę i wyspy Pescadores. Korea odzyskuje niezawisłość—czytaj: wchodzi w zawisłość od Japonii. Najważniejszym punktem umowy ma być zawarowanie sobie wzajemne przyjaźni politycznej w postaci przymierza zaczepno-odpornego. Obie strony samym faktem sprzymierzenia się dowodzą znajomości tych warunków obecnych i przewidywania tej konieczności przyszłej, która nad ich życiem, swobodą ruchów i całym rozwojem dalszym panować będzie. Są także i umyślne artykuły, otwierające Chiny dla wszystkich—dla cywilizacyi. Chińska zbankrutowała, europejska ją zastąpi.

W drugie święto wielkanocne miał ks. Bismark bardzo poważną mowę do przybyłych niemieckich studentów uniwersytetu w Hradcu i do delegatów z innych austryackich. Wykazywał im, że sama doniosłość historyczna przywróciła jedność dawnego państwa rzymsko-niemieckiego: z wyjątkiem Francyi znowu od r. 1879 stoją przy sobie, węzłem tylko potrójnego przymierza w miejsce dawnej korony cesarzów niemieckich spojono, kraje środkowego trzonu Europy, które niegdyś wchodziły w skład monarchii Karola Wielkiego. Z Austryą bywały i będą jeszcze niesnaski, bo od czegóż byłoby życie, gdyby nie miało być walką? — ale ostatecznie oba mocarstwa trzymać ze sobą będą, bo muszą. Niemcy w Styryi niech będą łagodnymi dla słowian, a ułatwi im tę łagodność ciche lecz ustawiczne poczucie swej wyższości jako żywiołu germańskiego, męzkiego, nad kobiecym, biernym, jakim są słowianie. Do dynastyi niechaj mają większe jeszcze, niż dotychczas przywiązanie; to biegun i spójnia. I kanclerz dla zachęty wychylił puhar wina styryjskiego. Ten toast wraz z częścią mowy, dotykającą dynamiki politycznej w Europie, osłabił wrażenie przykre, jakie w Wiedniu wywołało było przemówienie z d. 8 b. m. do niemców odeskich. Ponieważ jubilat, w obecnej fazie umysłowości cesarza Wilhelma II, mógłby do pewnego stopnia być jakby *spiritus rector* jego polityki, zaczęto się już w Wiedniu niepokoić: zali biegun magnetyczny twórcy „Aegira“ nie odchyli się teraz od południa w kierunku przeciwnym.

Martinez Campos w poniedziałek stanął na Kubie. Przed świętami miejscowi strategowie odnieśli ważniejsze zwycięztwo nad powstańcami; w boju miał lodz jeden z przewódców, Maceo. W Madrycie zaczynają już patrzeć przez różowe okulary: nie minie kwiecień, a nie będzie już ani jednego powstańca na Kubie. Trochę jeszcze poczekają.

Prezydent Faure bawi w Hawrze, gdzie stało się wielkie nieszczęście: od nafty popaliły się okręty i groble. Prezydent wbrew przewidywaniom i zapowiedziom osobiście pożegnał wojsko, odpływające na Madagaskar, w obozie w Sathonay pod Lugdunem. Wojsko już wyruszyło. W sam Wielki Piątek wsiadł na okręt w Marsylii dowódca wyprawy, gen. Duchesne: zarzucono go kwiatami — oryginalna symbolika wojenna. Kwiaty dziś do wszystkiego; niedługo przystrajać nimi będą armaty. Na południu wyspy było już starcie, oczywiście dla krajowców niepomyślne. Z Mauritius donoszą, że howaje, lekceważąc sobie wojnę, niedostatecznie się do niej przygotowali; Antananarywo, obok warowni dawniejszych, nie otrzymało żadnych nowych; zarówno obrona stała, jak i ruchoma, wojsko, bardzo niedomaga. Trzecia tylko część armii wchodzi w poważny rachunek. Stratą dotkliwą jest odjazd pułkownika angielskiego, Shervingtona, który prawdopodobnie uległ naciskowi swego rządu i porzucił służbę u howajów. Miał to być ich Moltke. Znaleźli sobie pewno innego — ale z Shervingtonem oddawna już łączyły ich stosunki wojskowe, ufność wyzajemniana. Wogóle wróżby niepomyślne — ale może się jeszcze poprawią. „Spacerem“ chyba wyprawa w żadnym razie nie będzie.

Odkrycia panaminowe dotknęły osobę, nie barona Hammersteina-Loxten, ministra rolnictwa w Prusiech, ale jego brata, prostego barona Hammersteina: ten był redaktorem *Kreuz Ztng*, a nie H. Loxten. Agraryusze, pełni żałości, dowodzą teraz, że rada stanu dlatego odrzuciła wniosek, iż jej cesarz-prezydent odrzucić go nakazał: do komisyi oceniającej monopol kanitzowski nie chciano powołać samego twórcy projektu, komisyę złożono z jego przeciwników. W sejmie będą takie same intrygi: czyż można się będzie dziwić, jeśli się myśl zbawienna przyjąć nie zdoła?— lamentują.

Na uroczystość w Kielu zjedzie się sto kilkadziesiąt okrętów i dwadzieścia kilka tysięcy ludzi załóg okrętowych. Program zabaw, ułożony przez samego cesarza Wilhelma, czeka tylko na dokładne spełnienie. Od strony Francyi może jeszcze powiać wiatr przeciwny. Wskrzeszona liga patryotyczna, odrastający bulanżyzm, mogą jeszcze narobić tyle wrzawy, tyle patryotyzmu, polegającego na krzyczeniu: „Do Alzacyi,“ a siedzeniu w Paryżu, że kto wie jeszcze, co się stanie z programem uroczystości kielskich we wszystkich jego szczegółach. Cesarz Wilhelm drażnił w ostatnich czasach francuzów to obchodem klęsk francuskich 1870 r., to pałaszem („Pallasch“), ofiarowanym Bismarkowi: nagłe niestawienie się Francyi byłoby nawet zadośćuczynieniem logice.

W Anglii gabinet Rosebery'ego ma coraz mniejsze widoki utrzymania się — już nawet i ze względu na osobę pierwszego ministra. Rozgoryczenie na Francyę o Nil i Niger ustaje.

BADANIA NAUKOWE

STUDYUM O POSTĘPIE.

Może uprzedzony jestem do W. Greefa. Jest on autorem kilku dużych prac socyologicznych, posiadających rozgłos niezbyt wielki, nawet za mały względnie do swojej wartości. Rze-

---

5)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 7.

Zaledwie Arjos i Orla odeszli, buchnęła zewnątrz jakaś wrzawa. Różnorodne głosy splatały się po kilka, to znowu zwijały się w kłębek, w których niepodobna było uchwycić jednego wątku. Zgromadzeni daremnie nasłuchiwali, a gdy hałas coraz bardziej rozlewał się i mącił, Dobor wstał z ławki i podszedł ku drzwiom swoim. Ale wkrótce powrócił.

Dobor.

Jeden z naszych rybaków przyniósł ważne wiadomości o Moronach.

Gotar.

Niech tu wejdzie i opowie.

Rybak.

Moronowie popędzili wszystko bydło w górę rzeki, a teraz zwijają namioty i spiesznie wywożą je za trzodami. Widocznie przenoszą się gdzieindziej, gdyż na miejscu nic nie pozostawiają.

Głosy.

— Wyżej stop biegnie już tylko wązką smugą.

— Ale trawa tam jeszcze niewypasiona.

— Może wysiedlą się do innego kraju.

— Oby jak najdalej.

— Czy to nie są lisie obroty?

— Poprostu dokuczył im głód, szukają żyzniejszego miejsca.

Rybak.

Ludzie, którzy przypłynęli z góry rzeki, mówili mi, że Moronowie odsuwają się od niej i skręcają za góry.

Głosy.

— A więc poszli w pustynię.

— Naturalnie.

— Postanowili widocznie wrócić do swej ziemi ojczystej.

— Czy ona leży daleko?

— W każdym razie za pustynią.

— Arjos musi wiedzieć.

Wszedł Arjos.

Gotar.

Słyszałeś, że twoi rodacy opuścili dotychczasowe leże?

Arjos.

Mówiono mi.

Gotar.

Czy daleko do tej ziemi, z której przywędrowali?

Arjos.

Byłem w niej młodym chłopcem, ale pamiętam, że jest piękna. Stłoczyły się na niej wysokie góry, które dotąd rysują mi się w marzeniach. Gdy niebo szmaty chmur im rzuci, olbrzymy rozdzierają tę lekką i powiewną tkaninę: jeden owija nią sobie głowę, jak turbanem, drugi rozciąga ją długim szlakiem zawoju, inny przepasuje się nią w środku, inny obszywa u dołu kraj swej zielonej szaty, inny otula się w nią cały, jak w ciepłą opończę. Latem każda z tych gór rozpuszcza po ramionach, plecach i piersiach długie, jasne warkocze, wyschłe łożyska potoków, które ożywione wodami wiosny, wiją się jak węże, zielonawe, sine, szare, z pomarszczoną drobnemi falami skórą. Niekiedy znowu spadają, jak cienkie, srebrne sznurki lub zwieszają się na krzewach, jak pasma pajęczyny. Wtedy wspaniale wygląda...

czy znacznie słabsze wyrobiły sobie uznanie większe. O poglądach Greefa niepodobna twierdzić, że są fałszywe. Owszem, czytając prace socyologa brukselskiego, zrzadka spotykam tam zapatrywania, któreby mnie raziły swoją niewłaściwością. Zwolennik doktryny, że społeczeństwo jest organizmem, umiał się przecież ustrzedz jednostronności Spencera, oraz zrozumiał, że podstawą więzi społecznej są materyalne warunki bytu, co odrazu wywodom jego nadaje charakter odmienny. Zaznaczmy przytem, że z po za zacieków oderwanych wygląda twarz nader sympatyczna. Greef odznacza się niezmierną wrażliwością na wielkie zagadnienia ludzkości. A przecież pomimo tych wszystkich zalet, każdą jego nową książkę biorę opieszale do ręki, wiem bowiem z góry, że nie dostarczy mi ona żadnej przyjemności. Nie dlatego, ażeby była ciężką — nie! Znam prace, gdzie trzeba nad każdą stronicą dobrze się zastanowić, ażeby zrozumieć, co autor pragnął powiedzieć; jednak taka gorzka łupina nie odstrasza, bo jestem przekonany, że w głębi znajdę pożywne jądro. Tymczasem u Greefa niema nic, coby istotnie rozszerzyło czyjeś widnokręgi, nawet braknie polotu wyobraźni, któraby ożywiła czytelnika chociaż swoją oryginalnością. Przez długie rozdziały wloką się żmudne wywody, słuszne wprawdzie, ale jałowe, usypiają umysł i zniechęcają go do studyów; to, co daloby się powiedzieć na dwudziestu stronicach, zapełnia paręset; nawet poczciwość autora jest tak ślamazarną, iż czytelnik tęskni za parodoksami płytkimi, ale w którychby tętniło coś żywego. Przedewszystkiem zaś zadaję sobie pytanie, po co Greef szeroko mówi o rzeczach tak prostych, po co dowodzi tego, co samo przez się jest widocznem i najniepotrzebniej wskrzesza scholastykę?

Wszystko to przesunęło mi się znowu w myśli, kiedy wziąłem do ręki najświeższą pracę Wilhelma Greefa, poświęconą transformizmowi społecznemu *). Dzieło to składa się z dwóch części: pierwsza zawiera przegląd historyczny zapatrywań na przejścia dziejowe ze strony różnych ludów, od najstarszych lub najstarożytniejszych aż do chwili obecnej; druga obejmuje zagadnienie, na czem polega postępowy względnie wsteczny rozwój społeczeństwa. Są to tematy nader wdzięczne, co więcej, autor rozpatruje je z bardzo właściwego stanowiska. Profesor brukselski postanowił zbadać, od czego zależy kształtowanie się naszych pojęć o tem, co to jest postęp lub wstecznictwo. Zaraz na początku swojej książki uczynił uwagę jak najsłuszniejszą, że są to pojęcia, które tylko wtedy zdołamy zgłębić należycie, kiedy poznamy ich historyę. Autor, zakreśliwszy sobie plan śmiały, bierze się do analizy; nietylko w książkach postanawia szuka kolejnych losów wyłuszczonej idei, ale równie w głosie bezwiednie tworzącej się opinii ogółu. Każde społeczeństwo, a zatem zarówno największe i najdrobniejsze, nawet najrutyniczniejsze i najnieruchliwsze, ulega przecież pewnym zmianom. Owe przekształcenia zaznaczają swój ślad w umysłach ludzkich. Tą drogą powstają w łonie społeczeństw niejasne i samorzutne zapatrywania na przyszłość kraju: ojczyzna chyli się ku upadkowi lub upatruje w przyszłości lepszą dolę. Jest to właśnie źródło idei o rozwoju społecznym, które później ktoś wypowiada w formie artystycznej lub uzasadnia w sposób naukowy. Są one właściwe zarówno pierwocinom społecznym, jako też ustrojowi najbardziej cywilizowanemu. Naturalnie, te pojęcia subjektywne znajdują się w jak najściślejszym związku z istotą przekształceń społecznych. W epokach rozkładu powszechnego, jak to działo się podczas dogorywania starożytnej Romy, przeważał pesymizm, dowodzący, że każde społeczeństwo musi zestarzeć się i upaść, w epokach zaś działalności organicznej, wzmacniającej więź społeczną, szerzą się ideje, zabarwione optymizmem. Doba obecna, mimo mnóstwa wad, posiada zdaniem Greefa, dużo takiej żywotności: jest tam miejsce na nieubłaganą i namiętną krytykę, ale pesymizm, pełen zwątpienia i niemocy, jest obcy epoce dzisiejszej. Dlatego to żadna chwila dziejowa nie może wskazać takiej wiary w postęp, jakiej my jesteśmy wyznawcami. Na tej kanwie rodowodów wskazanej idei socyolog wiąże nici swojego przedstawienia historycznego. Dowodzi, że pojęcia o wieku złotym w przeszłości i o grzechu pierworodnym, który zniszczył jego trwanie, są nieodzowną właściwością pewnych epok dziejowych — właściwością, spoczywającą w ustroju ówczesnym; że zapatrywania jako dzieje rodu ludzkiego idą cyklicznie i po pewnym przeciągu wracają do pierwotnego punktu wyjścia, powstają znowu w innych okresach rozwoju historycznego; że idea o ciągłości procesu dziejowego może się zrodzić przy istnieniu pewnych szczególnych warunków. Ale jakkolwiek brzmiałyby te ideje, zawsze są one odzwierciedleniem całokształtu stosunków gromadnych, w jakich wypadło żyć ludziom. Kiedy jednak przychodzi do przedstawienia wcieleń owych poglądów w prace o społeczeństwie i wogóle w pomniki pisane, kiedy trzeba rodowodowo powiązać różne epoki i doktryny, naówczas Greef plącze wszystko bezładnie: zamiast jasnego obrazu, daje chaos bez rysów wyraźnych i charakterystycznych. Niema tam fałszu, ale niema też prawdy. Coś jest niedopowiedziano, opuszczone, czegoś nie powiązano. Erudycyi sporo, ale brak jędrnego a mocnego spoidła. Saint-Simon posiada rysy S. Simona, lecz swoją drogą nie jest S. Simonem; w ojcu filozofii pozytywnej poznajemy Comte'a, ale tak zmienionego, raczej niewyraźnego, że może nie odróżnilibyśmy go w tłumie towarzyszów. I każdy z nich jest maryonetką — bez związku z podścieliskiem społecznem!

Tak przedstawia się część historyczna. Teoretyczna, poświęcona analizie samego pojęcia o postępie, posiada inne wady. Ów brak wyrazistości zamienia się tam na rozwlekłą gadaninę, nieco scholastyczno-metafizyczną. Gdyby tych paręset stronic ktoś streścił na kilkunastu, wyszłaby rozprawka bardzo wdzięczna. Greef wywody swoje rozpoczyna od słusznej uwagi, że ewolucyi społecznej nie należy mieszać ani z postępem, ani z wstecznictwem. Pojęcie o niej, to idea nawskróś przedmiotowa, ani pesymistyczna lub optymistyczna, ani dodatnia, ani ujemna. Tymczasem ilekroć mówimy o postępie, zawsze do rozwoju dziejowego przykładamy miarkę subjektywną i naturalnie do ostatecznego wyroku wnosimy pierwiastki podmiotowe. Socyolog belgijski przedewszystkiem więc zagłębia się w istotę owego przebiegu przedmiotowego, jakim jest ewolucya, wzięta niezależnie od oceny ze strony człowieka. Autor zaznacza, że polega ona na zwiększaniu masy społecznej, tj. ludności i rozmiarów terytoryum, na jakiem rozsiadł się pewien naród, na wzroście, w ciągu dalszym zróżniczkowaniu tej masy i wreszcie na uporządkowaniu wzajemnem i zcałkowaniu różnorodności. Ale różne strony życia bynajmniej nie są współrzędne. Jedne z nich odgrywają w rozwoju rolę donioślejszą — sprawczą, inne występują jako skutki tamtych. Za czynnik podstawowy Greef uważa życie ekonomiczne społeczeństw: ono to uzależnia od siebie wzrost narodu, panuje nad jego uczuciowością i kształtuje tak

*) *Le transformisme social. Essais sur le progres et le regrès des societés.* Paryż u Alcana, str. 514.

Gotar.

Arjosie, nie o to nam chodzi. Malujesz nam bardzo ładne obrazy, ale my chcielibyśmy wiedzieć, jak odległa jest stąd kraina, którą twoje plemię przedtem zamieszkiwało?

Arjos.

Nie pamiętam i nigdy o to nie pytałem. Zdaje mi się jednak, że prawie dotyka do zachodniego obrzeża pustyni.

Gotar.

Czy rzeczywiście Wirowie zostali stamtąd wyparci przez wrogów?

Arjos.

Tak twierdzą nasi ojcowie.

Gotar.

Zapewne więc twój ród dowiedział się, że jego nieprzyjaciele opuścili tę krainę?

Arjos.

Może.

Gotar.

Jednakże należałoby zbadać, dokąd Moronowie powędrowali?

Arjos.

To nie trudno. W górach, za rzeką, są szczyty, z których ogarnąć można duży krąg okolicy. Znam wszystkie ich ścieżki i przesmyki, bo często szukałem na nich samotności. Ja i Tylon wyruszymy dziś przed świtem w góry, wejdziemy na jakiś wysoki wierzchołek, rozejrzymy się wokoło i wieczorem przylecimy z doniesieniem.

Tylon.

Arjos mądrze radzi.

Gotar.

A jeżeli Moronowie zatrzymali się w górach i was dostrzegą?

Arjos.

Czy odchodząc zapalili wielki stos?

Rybak.

Dym jakiegoś ogniska widziałem.

Arjos.

To znaczy, że odeszli stąd daleko, bo tak im każe religia, ażeby nie zostawiali po sobie nic, co by mogli zużytkować innowiercy.

Gotar.

Więc dobrze. Arjos i Tylon o północy wyjdą w góry, a my jutro rano tu się zbierzemy i wysłuchamy ich doniesienia. Teraz możemy się rozejść.

Głosy.

Tak.

Gotar.

A nasza królowa-matka nie sprzeciwia się temu?

Mirolana.

Tak ma być, jak moi synowie uchwalili.

Wypowiedziawszy te słowa stojąc, zstąpiła z tronu i przy pomocy kapłanów jeszcze bardziej drżąca i osłabiona wyszła. Za nią wysypało się różnemi drzwiami całe zgromadzenie.

Widok 8.

Pod gęstem okryciem nocy góry jeszcze drzemały niby wielki, strzegący pustyni zwierz z długim grzbietem, nabitym chropowatą łuską i najeżonym ogromnymi kolcami. Powoli, jak gdyby trącone chłodnym wietrzykiem porannym, który obłatywał całą naturę, zapowiadając jej nadejście dnia, zaczęły się budzić, odsłaniać i wyciągać. Arjos i Tylon, wspinając się ścieżką, spadającą jak kręta taśma po boku najwyższej wyniosłości, doszli do jej szczytu, gdy już brzask gęsto obsiał powietrze łagodnem światłem. Wreszcie stanęli na wierzchołku, z którego wzrok ich mógł obiegać szerokie koła.

Arjos.

Patrz, Tylonie, ten kulisty obłok jest pąkiem słońca, z którego ono wystrzeli, jak wspaniały kwiat.

Rzeczywiście w tej chwili obłok rozdarł się i wyszło z niego, jak korona żółtego kwiatu, złociste słońce.

lub inaczej stosunki rodzinne, oddziaływa na twórczość artystyczną, na moralność, prawo i politykę. Naturalnie, różne te wtórne objawy, raz ukazawszy się w społeczeństwie w tej lub innej postaci, również stają się sprężynami sprawczemi dalszego rozwoju, ale doniosłość ich nie da się porównać z wpływami podkładu materyalnego. Władza prawodawczo-wykonawcza zdolną jest przekształcić formę rządu i brzmienie prawa, tj. siebie samą, ale doświadczenie dowiodło, że z małym skutkiem może oddziaływać na nasze poglądy etyczne i zwyczaje, że jeszcze mniej posiada wpływu na sfery wyobrażeń estetycznych, że jest bezsilną wobec węzłów rodzinnych. Niemoc jej wypływa z tego źródła, że podkład ekonomiczny kształtuje, odpowiednio do swojej natury, wszystkie przystawki dalsze i wszelką działalność wyższą. Objawy życia gospodarskiego, to najprostsze i najbardziej zasadnicze czynniki więzi społecznej. Uznawszy tę prawdę, socyologia może stworzyć umiejętność praktyki politycznej, gdyż zbadawszy należycie wzajemną zależność różnych czynników względem siebie, zdoła odpowiedzieć na pytanie: na jakie strony życia społeczne modyfikatory i regulatory winny oddziaływać, azedy wywołać skutki najrozleglejsze i najenergiczniejsze. Zbyteczna dowodzić, że, zdaniem Greefa, będą to objawy ekonomiczne.

Skończywszy z analizą, na czem polega wzajemne oddziaływanie oraz od czego zależy rozwój społeczny — transformizm, jak stale wyraża się uczony brukselski, przystępuje on wreszcie do zagadnienia, kiedy ów rozwój możemy uważać za postępowy lub wsteczny. Od przedmiotowego więc oświetlenia kwestyi przechodzimy do podmiotowego. Wiemy już, że owa podmiotowość nie jest dowolną, bo stanowi jedynie odzwierciedlenie w mózgu ludzkim zjawisk, właściwych objektywnemu przebiegowi społecznemu. Idea o postępie, wyznawana przez opinię publiczną i skrystalizowana w pracach teoretyków, to zbiór pojedynczych uogólnień, to pojęcie złożone, które drogą analizy można rozłożyć na pierwiastki składowe. Umysł dokonywa bezwiednie syntezy z oddzielnych wrażeń, aż wreszcie w opinii publicznej powstaje przekonanie, że powszechna ruina grozi społeczeństwu lub że jest ono na jak najlepszej drodze. W subjektywizmie takim tkwi sporo przedmiotowości. Jeżeli w pewnej chwili dziejowej mniemamy, że postęp jest prawem rozwoju społecznego, to istotnie rzeczy tak stoją, iż społeczeństwo rozwija się w kierunku dodatnim. A zatem nastręcza się pytanie, czy wobec przedmiotowości samego zjawiska nie można byłoby znaleźć również przedmiotowej skali do mierzenia tego, co subjektywnie ochrzciliśmy nazwą postępu. Autor powiada, że powstanie ośrodków specyalnej zależności stanowi oznakę najcharakterystyczniejszą postępu, ale takie ogólne zdanie nie zaspokaja go. Bierze się więc do wyszukania tego, co nazywa „metrem postępu." Porzuca drogę oderwanych pojęć i zaznaczywszy, że idea o postępie to idea złożona, która powstała z syntezy mnóstwa pojedynczych, przystępuje do zbadania różnych zjawisk konkretnych. Zaczyna od otoczenia, w którem pewne społeczeństwo przebywa, oraz od jego ludności. Społeczeństwo idzie naprzód, kiedy się rozwija otoczenie (fauna i flora, hodowla i uprawa, siły wytwórcze itd.); równie dowodem widoków pomyślnych na przyszłość jest wzrost ludności, jej siły fizycznej, dzielności antropologicznej. Ale czynniki te same w sobie wzięte jeszcze nie wystarczają dla wydania stanowczego wyroku. Podobnie też inne strony życia społecznego nie są dostateczne. „Metr postępu, owa jednostka monetarna cywilizacyi, to połączenie wszystkich pierwiastków społecznych, sprzężonych w odpowiedniej proporcyi." W rezultacie długiej a żmudnej analizy otrzymuje to, co Tylor prosto wypowiedział w paru wierszach: jeśli pragniemy rozstrzygnąć kwestyę, czy społeczeństwo rozwija się dodatnio, czy cofa się, to sporządźmy bilans wszystkich stron jego życia za pewien dość długi okres czasu i porównajmy wszystkie plusy i minusy.

Oto treść zasadnicza książki W. Greefa, rozwodniona na znacznej liczbie stronic i zatopiona w wielu jałowych, acz słusznych dociekaniach, które ujawniają chęć filozofowania o rzeczy najprostszej — czemu kot posiada ogon, a wróbel skrzydła. Są tam tak górne poloty filozoficzne, że wprost chybiają celu; tak ogólnikowe, że mogą dotyczyć zarówno ziemi, jako też księżyca. Kiedy mówimy, że człowiek jest bytem, wygłaszamy prawdę, ale taką, która nic nam nie daje. Z takich prawd ulepioną jest socyologia Greefa. Jędrny, mocny materyalizm dziejowy, który wie, czego chce i umie w przebiegu historycznym odszukać jądro zasadnicze, dziwnie się tam splątał ze scholastyką Spencerów i metafizyką Schaffle'ów i utworzył osobliwy zlepek. Ostateczne stanowisko profesora brukselskiego pozwolimy sobie scharakteryzować jego własnemi słowami: „dobre i złe, postęp i wsteczniotwo nie są koniecznością fatalistyczną ani produktem naszej wolnej woli. One zależą od stosunków realnych, które nauka społeczna winna wyjaśnić, wytłomaczyć i przedewszystkiem zreformować. Usiłowaliśmy dokonać tego, wyświetlając niektóre prawa transformizmu społecznego. Determinizm socyologiczny nie jest ani subjektywnym, ani objektywnym, on tylko nas uczy, w jakich warunkach społeczeństwa cofają się lub idą naprzód."

L. Krzywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z PARYŻA.

Położenie pracowników okrętowych we Francyi. — Ostatnie objawy ustosunkowania się francuzów do niemców: ankieta podjęta przez *Mercure de France* i *Neue deutsche Rundschau*. Francya i Niemcy w Watykanie.

Gdy przeglądałem przed kilku tygodniami broszurę niemiecką, wydaną przez redakcyę *Vorwartsa*: „Życie i cierpienia żeglarza," ogarnął mię smutek nietylko dlatego, że zajrzałem w nową krainę cierpienia, ale i temu, że autorowie małej książeczki obierali z świata tłokręgu marzeń żywot, o którym połowa przynajmniej młodzieży wykarmionej Robinsonem i Juliuszem Vernem śniła. Kto z nas nie kołysał się w myśli na błękitnem morzu, ilu naszych towarzyszów tęskniło do wielkiego okrętu, masztów i niebotycznych fal? Tam życie wrzało i wolność złociła się. Swobodny, szerokoskrzydły wiatr nadymał żagle, statek płynął przez fale rączej od jaskółki, powietrze świeże a ostre rozszerzało pierś. Z różnemi godzinami dnia zmieniały się połyski toni, w dali na brzegach widnokręgu ukazywały się bandery przejeżdżających parowców. Wypływały z mgieł bukiety wysp, zarysowywały się długiemi liniami lądy. W dzień przed dziobem okrętu bujał rój ryb latających, za rufą płynęło stado rozigranych delfinów. Nocą żaglowiec jak po iskrach mknął

— Ach, jak ono zawsze piękne, choć codzień widziane! Czy uważasz, kochany Tylonie, że góry śmieją się do niego?

Tylon.

Co to za plama na piasku, tam daleko, przy końcu gór?

Arjos.

Jakiś cień nocy nie zdążył się schować przed słońcem. Nie wszystkie jeszcze ukryły się w grotach i załomach skał. Widzisz tę chmurkę, która zbliżyła się do słońca, kradnie mu promienie i wpina w swoje włosy?..

Tylon.

W tych górach kóz dzikich niema, a jednak słyszałem przed chwilą beczenie...

Arjos.

Czasem wietrzyk poranny schwyci echo w pustyni i rzuci je między góry. Ot i rzeka również porywa blaski, rozdrabnia je i rozdaje falom, które gonią się i wydzierają je sobie. Jakże bogate jest słońce! Co dzień obdziela wszystkie stworzenia i nigdy nie zmniejsza swych skarbów.

Tylon.

Arjosie, to nie plama, to gromadka zwierząt.

Arjos.

Czyż sądzisz, że nie przychodzą tu z pustyni gazele? Nigdzie nie dostrzegają człowieka, więc stoją zapatrzone w słońce... Orzeł nad nami krąży, jak gdyby urągał dwu biednym żółwiom, które z trudem wpełzły na górę, będącą dla niego niziną. Małe to orły, bo małe góry. W dawnej ojczyźnie mojego rodu...

Tylon.

Cicho... jakieś gwizdanie...

Arjos.

To świstaki się wabią... Znam wszystkie głosy zwierząt, jak gdybym je stworzył. Spojrzyj-no, Tylonie, na rzekę, na osadę waszą, a teraz i moją, jak ona ślicznie wygląda na tle zieleni łąk i drzew. Wszystkie budynki rysują się już jasno, widzę wyraźnie wasz domek, gdzie moja Orla może w tej chwili otwiera oczy, które jej zamknąłem pocałunkami. Tylonie drogi, jak ja was wszystkich za nią kocham! Skarć mnie, wyznam ci jednak, że już do niej tęsknię. Dzień dzisiejszy mi przepadnie. Całować ją będzie powietrze, woda, słońce, wszystko, co ją dotknie, a ja nie. Gdybyś ty wiedział, jak bogatym czuję się z nią, a jak biednym bez niej!

Tylon.

Przestań mówić, bo coś słyszę...

Arjos.

Bociany klekoczą... W waszem niebie nie ma bogini piękności dlatego, że ukryła się w ciele Orli.

Tylon.

Arjosie, zamilknij, te góry nie są puste.

Arjos.

Nikt o tem nie wątpi... Mój Tylonie, pozwól mi uściskać cię... potrzebuję tego... Ty jesteś jej bratem... Będę z tobą słuchał, chodził, tylko uspokoję się... Popatrz na mnie swoim dobrym wzrokiem, w którym zamigocze czasem spojrzenie mojej Orli...

Rzucił się na szyję Tylona, który go objął serdecznie, ale nagle oderwał się i zatrwożony szepnął.

Tylon.

Tu niedaleko są ludzie.

Arjos.

Jeśli tak szczęśliwi, jak ja, niech ich będzie pełna ziemia

Jednocześnie z różnych stron wypadło kilkunastu uzbrojonych mężczyzn, którzy otoczyli Arjosa i Tylona.

Tylon.

Czego chcecie?

Zebor.

Was

Arjos.

To są moi plemieńcy.

w prawo i w lewo, naprzód i w tył, ocean fosforyzował...

Cóż dopiero, gdy zapadała w dno portu kotwica i wysiadano na egzotyczny, obcy brzeg. Nowe widoki, nowe wrażenia, ludzie, flora i fauna niewidziane, obyczaj nowy. I myśli wtedy bujnej zakwitały, jak kielichy lianów indyjskich.

Broszura niemiecka przedstawiła sucbotników umierających z nadmiaru pracy, nadzorców zakatowujących prostych majtków, wyzysk i krzywdę. Czarny kruk niedoli i nad oceanem kracze.

Niedługo potem z powodu obaw o los statku „La Gascogne," który niósł na swym grzbiecie kilkaset osób, poruszono i we Francyi dolę żeglarzy. A jest ich, prócz załóg okrętów przewozowych, około dwudziestu tysięcy: dziesięć tysięcy rybaków nowo-funlandzkich, pięć tysięcy islandzkich, pięć innych. Pani Séverine w *Eclair*, Jerzy Montorgueil w *Paris*, przemówili za nimi. Przytoczę według obojga kilka faktów, dołączając i te, które przed rokiem blizko podał utalentowany poeta i powieściopisarz, Jan Aicard.

„Kiedy wojna zabija ludzi, pisze Aicard, każdy wzrusza ramionami. Kiedy ofiary zabiera walka z żywiołem, uczucia się stopniują. Po żeglarzy, którzy przedsięwzięli wyprawę naukową, rząd wysyła statek na poszukiwanie. Rybak biedny, skaczący do wątłej łódki z nieletnim synem i ginący wśród burzy bywa uważany, mimo że był w niewoli nędzy, za człowieka wolnego, zabitego w walce z równym. Ale ziemia francuska posiada kilkanaście tysięcy paryasów, których życie jest bolesne i zgon bez sławy. Kilkanaście tysięcy niewolników spekulacyi, nieszczęsnych skazańców „piekła lodowego," wiecznych mgieł: rybaków islandzkich i nowo-funlandzkich.

Ponieważ bez nich nie miałaby Francya floty, więc popiera ich przemysł, ale nie ich. Armator statku rybackiego otrzymuje od ministra marynarki za każdego człowieka zgodzonego pięćdziesiąt franków nagrody. Kieruje on jakby jednym oddziałem szkoły morskiej. Za kwintał połowu znów nagroda: szesnaście do dwudziestu franków. Tyleż za kwintał użytych przynęt. Nadto handlarz ryb pochodzenia francuskiego nie potrzebuje obawiać się współzawodnictwa; od jednostki ciężarowej ryb obcy musi zapłacić 48—60 franków cła. Słowem nad przedsiębiorcami rozwinięto skrzydła opiekuńcze.

A nad pracownikami? Za potrójne nagrody armatorzy topią ich, wysyłając statki na morze w początkach lutego, podczas największego zimna, najsroższych wiatrów, najgęstszej mgły. Wycieńczają ich olbrzymią pracą na statku i w walce z żywiołem. Nareszcie—rzecz okropna—czynią ich alkoholikami, bo maszyna ludzka nie może podołać wielkim ciężarom, zapijanie się wódką jest koniecznem na pokładzie, a gdy żeglarze wrócą na ląd, ich nałogi wylądowują z nimi. Więc niszczeje mienie, zarobek i potomstwo."

Od roku ministeryum wydało uchwałę, mocą której wyjazd na morze rozpoczyna się dopiero w kwietniu. Mimo to i dziś nie brak objawów lekceważenia życia ludzkiego przez przedsiębiorcę. Bankier chce przywieść swoje towary o kilka godzin wcześniej niż inni na rynek amerykański. Więc każe kapitanowi pędzić co sił. Cóż go obchodzi, że w szalonym pośpiechu statek może uderzyć o inny, wpaść na skałę, uledz zmiażdżeniu przez górę lodową! Okręt jest ubezpieczony, a zatem sprawa skończona.

Smutne położenie całej załogi poświadcza fakt, ogłoszony według *Justice* przez panią Séverine.

„Towarzystwo nicejskie," mające na celu komunikacyę między Korsyką i Niceą, posiada tylko jeden statek, „Korsykę," umieszczony zwykle w porcie nicejskim. Zdobyty na kredyt, dotąd jeszcze nie jest spłacony. Kilkakrotnie zmieniano jego nazwisko, chcąc wzbudzić w publiczności przekonanie, że kompania posiada kilka statków. Ponieważ nadto stan jego pozostawia wiele do życzenia, więc nie odbywa długich podróży, ani nie uskutecznia przewozów. Lecz kapitan ani załoga nie śmiała o tem pisnąć. Wynajęli się na lat kilka, cóż ich więcej obchodził Najważniejsza to, że od początku służby płacono im akcyami Towarzystwa, prawie nie procentującemi. Na pokładzie wszystko umierało z głodu... Nareszcie krzywdzeni zwrócili się do sądu, przyznano im żołd, wystawiono „Korsykę" na licytacyę i przyrzeczono po sprzedaży statku doręczyć pieniądze. Między rozpuszczeniem załogi a sprzedażą znowu upłynie spory przeciąg czasu, a za co wśród oczekiwań kupić chleba?

Tem sympatyczniej powinno być powitane założenie przez ludzi świadomych rzeczy stowarzyszenia „Dzieło morza," mającego na celu wejrzenie w sprawy żeglarzy i podanie pokrzywdzonym pomocnej ręki.

Dwa młode pisma, *Merkury francuski* i niemieckie *Nowy przegląd niemiecki*, wysłały do kilkudziesięciu literatów i uczonych Niemiec i Francyi zapytania, czy uważają za odpowiednią dążność do umysłowego zbliżenia się obu krajów i jakie są, zdaniem ich, środki ku temu? Ponieważ zagadnięci należą przeważnie do ludzi młodych, ankieta ciekawą i ważną jest choćby dlatego, że wprowadza nas w sferę poglądów młodego pokolenia.

Istotnie, bardzo sympatycznie i korzystnie odbijają. Kilku starych: senator i członek akademii medycznej, Berthelot, ekonomista Anatol Leroy-Beaulieu, dodają swoje „ale": niechaj Niemcy przestaną myśleć o swej przewadze wojennej, niech umilknie groźba nowych katastrof i t. d. Znajdują się jednak pośród nich i umysły głębokie. Najjędrniej i najdzielniej wyraził się Ribot:

„Osobiście jestem zwolennikiem utrzymania jak najściślejszych stosunków umysłowych i społecznych z Niemcami. Często korzystam z prac tego kraju i co do mnie, podziwiam prawdziwe oddanie się wiedzy, abnegacyę i cierpliwość w najniewdzięczniejszych badaniach uczonych niemieckich. Przekłady i wyjaśnienia krytyczne zdają mi się najprostszym i najlepszym sposobem zacieśnienia węzłów. Wiek siedemnasty, mimo znanych wam wojen ustawicznych, zawsze widział nad sobą szybujący ideał kultury umysłowej, zwanej wówczas „rzeczpospolitą literacką." Czy po dwustu latach doświadczeń winniśmy ku czemu innemu dążyć?"

Lecz wśród młodych podobne myśli o wiele goręcej bywają wypowiadane. Wszyscy jednogłośnie zwą się uczniami Niemiec. „Od osiemdziesięciu lat — pisze poeta Wawrzyniec Tailhade — Niemcy są dla nas ogniskiem nauczycieli. Okropności strasznego roku, tak samo jak ongi rzezie cesarstwa, nie zerwały więzów umysłowych, łączących blizkie ludy. Historyi, filozofii, muzyki, wszystkich sztuk i nauk nauczył nas geniusz niemiecki, żywy i zdrowy, nie zarażony gniciem, jak starzejące się ludy konglomeratu francuskiego. Kant, Hegel, Schopenhauer nauczyli nas myśleć, Niebuhr i Mommsen wprowadzili w historyę, a tymczasem niezrównany Goethe syntetyzował w swych rozmowach i poezyach ducha nowego czasu. Niemcy wskrzesili dramat i podnieśli z grobu Eschylosa."

Nie z kultu wiedzy i literatury Niemiec wypływa podobna serdeczność poglądów. Oparta jest ona głębiej. „Dla mnie — głosi Jan Grave — narody są tylko wyrazami geograficznymi, ludzkość składa się z jednego rodzaju: człowieka, a wszystkie je-

---

Tylon.

To są zbóje!

Tylon nie usłyszał odpowiedzi Arjosa, gdyż ich szybko rozdzielono i sprowadzono na dół góry.

Widok 9.

W głębokich wąwozach, kilkakroć skrzyżowanych, jak olbrzymi rój pszczół przysiedli między krzakami Moronowie. Wszystkie trzody spędzili na jedną obszerną dolinę, otoczywszy ją wokoło pastuchami, ażeby żadne zwierzę nie wydobyło się na zewnątrz i nie wskazało ich ukrycia. Zbity w kupki lud rozprawiał cicho, ale żywo, zwracając ciągle uwagę na dwa namioty, otoczone strażą. Oprócz tych rozpięte były jeszcze dwa inne: w jednym mieściły się cegły z przykazaniami i posąg Jama, a w drugim — Moron, który zamknął się z Zeborem.

Zebor.

Arjosa oddajmy pod sąd ludu...

Moron.

Jestem jego dziadkiem i sam go ukarzę, tylko wprzódy zbadam jego winę.

Zebor.

Gdy go prowadziliśmy, krzyczał, że już nie należy do naszego rodu i że się przyłączył do Mirów.

Moron.

Powtarzam, że sam go ukarzę. To nie jest wróg, przeciw któremu potrzebowałbym pomocy ludu, a nawet twojej.

Zebor.

Tylona poprostu można zakłuć, jak rysia w norze.

Moron.

I jego mnie zostaw.

Zebor.

Więc co mi każesz robić, Moronie?

Moron

Czyż ty myślałeś, że dlatego się tu z wami schroniłem i dlatego ciebie z kilkunastu ludźmi wysłałem w góry, ażeby wywabić i złapać dwu tych głupców, którzy uwierzyli w nasze odejście i przylecieli upewnić się, żeśmy zniknęli? Ja ich miałem już wczoraj w ręku, bo nie wątpiłem, że Mirowie będą nas tropić... Teraz chodzi mi o to, czy oprócz tych dwu nie wyszli lub nie wyjdą na oględziny inni, którzy mogą nas dostrzedz. Poślij więc znowu [illegible]

Zebor.

Czy chcesz w ten sposób wyłowić wszystkich Mirów?

Moron.

Czego ja chcę, a raczej bóg, dowiesz się dziś jeszcze; tymczasem wypełnij ściśle to, co ci polecam. Wszystkie wejścia w góry od północy i zachodu trzeba obsadzić wartami, ażeby nikt przypadkiem tędy nie przesunął się i nie zaniósł wiadomości do Mirów. Każdego należy zatrzymać aż do jutra.

Zebor.

A gdyby się opierał?

Moron.

Ty ich naucz, ale nie ja ciebie, co mają wtedy zrobić. Wydawszy im rozkazy, nie oddalaj się, gdyż potrzebuję z tobą pomówić o moim głównym planie. Przedtem jednak radbym wydobyć pewne szczegóły z Tylona i Arjosa.

Zebor.

Bez przymusu nic nie powiedzą.

Moron.

Umiesz ludzi rąbać, ale ich nie znasz. Usta takich zapaleńców pod przymusem zrastają się, a pod łagodnością — rozwiązują bardzo szeroko. Niech tu przyjdzie Tylon.

(D. c. n.)

go jednostki mają równe prawa i cele. Ziemia jest dość szeroka, aby człowieczeństwo mogło na niej rozwinąć się bez konieczności walk o drobny jej kęsek.“

„Widziałem rabinów z Amsterdamu, mnichów greckich z Wenecyi — mówi Poładan — a ci i owi wydawali mi się braćmi, gdy tymczasem Sardou i Sarcey są dla mnie najwstrętniejszemi jednostkami. Są tylko dwie rasy: myśląca i niemyśląca; granica, która je dzieli, nosi imię: głupota.“

„Niemcy, anglicy, fińczycy, włosi, berberzy, bretończycy, co mię to obchodzi — woła Romy de Gourmont. Bratać się wszędzie z umysłem i dobrą wolą, czemużby nie! On niemiec, dobrze, chcę go poznać. Nie mam żadnych uprzedzeń. Nienawiść ras, ludów? Patrzę i widzę tylko jednostki. Jeden porozumiem się z jednym, nie znam metafizyki tłumów, ani szowinizmu.“

Zjadliwy dziennikarz Bonnefon wytoczył przed sąd publiczny sprawę dość przykrą. Idzie o wywołany przez Watykan zatarg między wydawcami i robotnikami francuskimi a jednym z nakładców w Ratysbonie. W r. 1883 Leon XIII wydał uchwałę zalecającą, co znaczy nakazującą, włączyć w księgi kościelne drukowany odtąd t. zw. śpiew ratysboński. Może on być według polecenia ogłaszany tylko przez jednego wydawcę niemieckiego. Wynika stąd zmonopolizowanie na korzyść Niemiec wydawnictwa ksiąg kościelnych i poderwanie gruntu przedsiębiercom francuskim. Istotnie, kilka tysięcy robotników straciło wskutek tego pracę, a odwoływanie się do ambasady w Rzymie nie odniosło skutku. Biskupi w Perigueux i Nevers, za ich przykładem inni dalej każą kupować księgi kościelne w Ratysbonie. Bonnefon wyczerpującym artykułem w *Revue des [illegible]* wzbudził żywe zainteresowanie, a pewna grupa deputowanych ma zamiar poruszyć sprawę w Izbie.

W Bugiel.

Z GALICYI

Tematem godnym do rozmów towarzyskich u nas jest teraz—pomnik Mickiewicza w Krakowie. Ociężała, apatyczna Galicya zdobywa się na oburzenie wobec tego potwornego dziwactwa, którem Rieger wyposażył Mickiewicza, mającego zdobić rynek krakowski. Prawdopodobnie o tym pomniku i w Warszawie mówić będą obszernie, dlatego powstrzymuję się od powtarzania rozmaitych uwag, docinków i plotek, krążących na ten temat. Wolę pisać o rzeczach i sprawach, o których warszawskie pisma zwykle milczą. O pomniku przeto słówko tylko. Do jakiego stopnia praca Riegera niezadowoliła nikogo, dość chyba powiedzieć, że stańczycy, którzy niewątpliwie w całej sprawie zawinili najwięcej, gniewają się tak samo, jak zwykli śmiertelnicy. Jeden z nich, niezadowolony „z ulicy, która wciąż mieszała się do nazwy i wciąż zwyciężała, a starsi i rozumniejsi ulegali jej“—nie zawsze, niestety, teraz głosi *urbi et ubi*, że idyotyczny wyraz twarzy Mickiewicza przypomina Azteka; że poeta przedstawiony jest na posągu w stanie błogosławionym, z ręką, spoczywającą na brzuchu; że głowę Mickiewicza obsiadły wróble—aluzya do liści z wieńca laurowego. Nawarzyli stańczycy piwa, niechże teraz piją.

Organizacya sił i środków zdrowotnych i ochronnych w Galicyi mocno niedomaga. W małych miasteczkach i na wsi—tak już wypada—nad porządkami, a raczej nad nieporządkami, czuwa administracyjne oko Boga i, jak dotychczas, wystarczało to ludziom. Gdy śmieci i brudów nagromadzi się dużo, Bóg zsyła deszcz obfity i wszystko się spłukuje ku ogólnemu zadowoleniu burmistrza, rajców i mieszkańców; gdy się drogi tak popsują, że konie nogi na nich łamią, wówczas śnieg i mróz przychodzi z pomocą i przedłuża ulubione u nas „prowizoryum“—nieporządków. W mieście tak wielkiem i pięknem jak Lwów, posiadającem taką cudowną rzekę jak Pełtew, takie dzielnicy jak Zarwanica, Krakowskie i Kaźmierzowskie, potrzeba sprężystszej administracyi miejskiej. Nigdy to może nie było tak potrzebnem jak w roku bieżącym. Nie pisałbym do *Prawdy* o tem niechlujstwie Rady miejskiej i policyi lwowskiej, bo wiem, że czytelnicy jej nie są przyzwyczajeni do korespondencyi o dziurawych mostkach i źle brukowanych ulicach. To jednak, o czem piszę, nie jest żadną przypadkowością, lecz rzeczą normalną, ma źródło swoje w szlafrokowem traktowaniu gospodarstwa miejskiego — i dlatego piszę. Lwów jest miastem, w którem przez cały rok panuje w jednej lub dwóch dzielnicach tyfus plamisty; brzuszny jest również chorobą, powiedziałbym, miejscową, a nie brak nam innych z tego samego zakresu przyjemności. Źródło tego leży w niesłychanem niechlujstwie wewnętrznem miasta. Dziedzińce przepełnione gnijącem błotem, a kloaki, niekontrolowane przez policyę i zarząd sanitarny, są stałymi zbiornikami zarazków chorobotwórczych. Gdyby kto teraz zawitał do Lwowa, gdy na ulicach leżą stosy błota na poły zamarzłego, tak że przejechać nie podobna, gdzie chodniki są nieoczyszczane i nie zamiatane—chyba czyja dobra wola—gdzie śród dziedzińców gniją resztki odpadków kuchennych, ten dopiero zrozumiałby, dlaczego śmiertelność Lwowa jest największą w Austryi. Proszę dodać do tego bardzo łagodną kontrolę wszelkich zbiorników wody, zrobionych niby dla dogodności publicznej. Czerpią z nich płyn dobroczynny konewkami białoskórnicy, rzeźnicy, szewcy itd., pozostawiając różne odpadki lub przynosząc do domu coś nowego, czego dotychczas brakło. Drewniane rury, doprowadzające wodę do tych zbiorników publicznych, gniją, przepuszczają wszelkie nieczystości i nadają niekiedy wodzie woń nie możebną do zniesienia. Lwowskie studnie i rezerwoary są prawdziwymi rozsadnikami różnych mikrobów, pielęgnowanych przez miasto i rozdawanych darmo.

W jednej z dzielnic, zwanej Łyczakowem, kanał, doprowadzający wodę do studni miejskich, szedł obok kanału ściekowego w bardzo przyjacielskiem sąsiedztwie; wynikiem zaś tego była wymiana płynów. Dodać muszę, że ścieki te szły od głównego szpitalu. Co jesieni wybuchał tyfus i dziesiątkował ludność, a Rada miejska dopiero teraz pomyślała o środkach zapobiegawczych. No, nie było czasu, bo ojcowie miasta radzili wtedy—o teatrze.

Tak więc niedołężna administracya miejska przyczynia się do szerzenia chorób najrozmaitszych. Nadto wydział krajowy daje dotkniętej chorobą ludności niezmiernie małe i niedostateczne środki obrony w postaci szpitalów.

Oprócz tak zwanych krajowych, we Lwowie i Krakowie, istnieje w Galicyi 24 szpitale, pod nazwą prowincyonalnych—gminnych lub powiatowych, a utrzymywanych kosztem kraju. Co do stosunków i położenia tych zakładów, mamy trochę cyfr prywatnych tudzież urzędowych, ze sprawozdań Wydziału krajowego za rok 1893.

W szpitalach krakowskim i lwowskim było chorych w ciągu roku 23,207; koszt leczenia wynosił 558,750 zł. W tym samym czasie w 24 szpitalach prowincyonalnych było 25,623 chorych, utrzymanie zaś tych instytucyi kosztowało 296,723 zł. Jeżeli dodamy do tej kwoty utrzymanie szpitalów krakowskiego i lwowskiego sumę 234,237 zł., użytą na rozmaite urządzenia i budowy zdrowotne, będziemy mieli razem 792,983 zł. Ażeby czytelnikowi zaoszczędzić rachunku, powiem jaki jest wzajemny stosunek tych cyfr: oto wypada, że na prowincyi kosztuje utrzymanie jednego chorego tylko $1/3$ tego, co we Lwowie. Już ta różnica jest uderzającą i każe przypuszczać pewne nienormalności, ale przedewszystkiem nasuwa się pytanie: dlaczego Lwów i Kraków, miasta małe, gdzie istnieją szpitale prywatne i wojskowe (nie brane w rachubę), dostarczają tak wielu chorych, w stosunku do prowincyi?

Mnóstwo przyczyn na to się składa. Przedewszystkiem brak dobrych sił lekarskich na prowincyi zmusza ludzi, potrzebujących ratunku, a niezamożnych, do szukania pomocy w zakładach miejskich. Przyczyna, którą zaznaczyłem powyżej, nie jest bynajmniej jedyną i najważniejszą; głównym powodem przepełnienia szpitalów stołecznych jest *nędza*, panująca na prowincyi.

Ubogiej ludności miasto daje zarobek, który stosownie do przysłowia Maciek zrobił, Maciek zjadł, pozwala tylko żyć nędznie i licho. Z biedą idzie zwykle w parze choroba. Otóż ta nędza prowincyonalna, szukająca zarobku u żydów i mieszczan, wypełnia szpitale. Ci przeto, którzy mają z czego żyć, jak i ci, którzy z głodu umierać nie chcą, uciekają po ratunek do miast. Głodnych i ubogich przypadek do szpitala wtrąca, a ponieważ takich ludzi jest dużo, nic dziwnego, że te przytułki pełne.

Szpitale prowincyonalne nie są należycie zaopatrzone w siły potrzebne. Gmina nie chce wglądać do zarządu, ażeby nie kazano jej jakich kosztów ponosić; Wydział krajowy także mało interesuje się nimi — ażeby uniknąć zwiększenia wydatków. Skutki oszczędności są takie, że znaczna część szpitalów prowincyonalnych posiada budynki nieodpowiednie, za małe, ciasne, pozbawione wszelkich wygód dla chorych do tego stopnia, że niekiedy różne oddziały chorób mieszczą się w jednej sali. Fachowi ludzie takie warunki nazywają jeszcze *dobrymi*, gdyż są szpitale np. w Samborze i Tarnopolu, w stanie tak okropnym, że władze rządowe powinny nakazać natychmiastowe zburzenie ich lub zamknięcie.

Teraz słów kilka o lekarzach. Na prowincyi muszą oni być wszechstronnymi. Mały szpital zaściankowy nie może mieć specyalistów w każdej gałęzi, ale zakłady powiatowe chyba stać na to. Pomijam jednak tę kwestyę. W jaki sposób rozwiązać ją można — niech nad tem myśli zarząd sanitarny. Pamiętać jednak należy, że lekarz jest robotnikiem, który żyć musi z pracy swojej; może tylko pożytecznie pracować w pewnych granicach i warunkach; przeciążenie bywa niewątpliwie szkodliwe i dla niego i dla chorych. Otóż tu jest — *der Hund begraben*. Pierwszy dyrektor banku, który znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, że żadnych fachowych studyów nie potrzebuje, tylko sprytu giełdowego i kupieckiego — pobiera pensyi nieraz dziesiątki tysięcy, a ten, którego obowiązkiem jest ratować życie ludzkie, może sobie na urzędzie prymaryusza szpitala prowincyonalnego w Galicyi bez butów chodzić — zwłaszcza gdy ma rodzinę. Wspaniałomyślny Wydział krajowy, który w murach swoich tylu niedołęgów przytulił, tylu próżniaków, a niekiedy ludzi jawnie znanych z nieuczciwości, opłaca ich tysiącami, żywi i pieści, lekarzowi ordynującemu płaci rocznie 500—600 złr. — „prowizorycznie,“ tj. bez awansu i prawa do emerytury. Pracuj, miły bracie, w takich warunkach, czyli mówiąc inaczej: poświęcaj się na to, ażeby radcy Wydziału krajowego mieli z czego wygodnie nietylko żyć, lecz dawno długi płacić. Na takie intratne posady trudno znaleźć bohaterów, którzyby nieśli w ofierze długoletnie owoce swojej pracy — ku pożytkowi radców Wydziału krajowego. Z tego bardzo prosto

i zrozumiale dadzą się wyciągnąć wnioski: na urzędach prymaryuszów albo niema zdolnych ludzi, albo są z poświęceniem. Łatwo tedy zrozumieć, gdy ktoś ze złamaną ręką lub nogą jedzie z najdalszego kąta do Krakowa lub Lwowa, gdy ma nadzieję, że tam skuteczniejszy znajdzie ratunek, niż w szpitalu prowincyonalnym, gdzie mu chudzina „do wszystkiego“ może zabrać życie i pieniądze — niewinnie. Zaznaczam kilka uwag i faktów, dotyczących położenia szpitalów u nas w tej nadziei, że może nareszcie Wydział krajowy zajmie się nimi.

W jednej z dawniejszych moich korespondencyj wspomniałem o nepotyzmie, który w Galicyi rozpanoszył się bardzo. Każda instytucya publiczna działa przy pomocy krewnych i powinowatych, połączonych z sobą najrozmaitszymi węzłami. Ludzie protegowani nie z powodu wybitnych zdolności, lecz pokrewieństwa, są złymi pracownikami, bo zwykle opierają się o plecy opiekunów, a rzecz publiczna traci. To też u nas dzieje się tak, że doktorowie prawa stoją na stanowiskach agronomów, medycy kierują finansami, a praktykanci aptekarscy bez żadnych innych studyów wyrastają na dyrektorów banku. Wszystko to się dzieje dzięki stosunkom przez małżeństwa.

Teraz narobiono dużo wrzawy — nawet u nas — z powodu odkrycia takiego związku familijnego. Sprawa tem bardziej zwraca na siebie uwagę, że jest prawdą, a że się zaprzeczyć nie da, szukamy więc usprawiedliwienia złego w tem, że wszędzie dzieje się to samo. Jedno z odważnych pism niemieckich (*Die Zeit*) podało rodowód spokrewnionej rodziny „ministrów“ Dunajewskich i Madejskich. O tem pokrewieństwie wiedziano dawno, szeptano do ucha, narzekano, ale żadne pismo nie miało odwagi wydrukować tego;— w państwie konstytucyjnem istnieją przecież konfiskaty i obraza czci. Nic nowego, wcale zwyczajna historya. Były minister Dunajewski ożenił syna z córką ministra Madejskiego. Protegowany zaś zajął bardzo poważne stanowisko w ministeryum handlu z tytułem „Staathaltereirath.“ Siostra Dunajewskiego, b. ministra, jest żoną bibliotekarza i znanego bibliografa Estreichera. Córka tegoż jest za profesorem gimnazyalnym, Kulczyńskim, który w krótkim bardzo czasie został dyrektorem, lecz tem się bynajmniej nie zadowolił. Oprócz urzędów, spadały nań także „łaski“—otrzymał on, nikt nie wie, z jakiej racyi, „Franz Josephsorden“ i wykłada w uniwersytecie Jagiellońskim, jako profesor *in spe*. Druga córka Estreichera wyszła za dr. Rosnera, znanego „Coalitionsnichte,“ który został vice - sekretarzem ministeryum oświaty, awansując na tę posadę z kandydata notaryalnego. Ojciec jego otrzymał stanowisko profesora zwyczajnego w uniwersytecie Jagiellońskim, a brat docenta ginekologii. Syn Estreichera, 25-letni młodzieniec, uzyskał niedawno nominacyę na docenta prawa niemieckiego, z widokami na profesurę, gdyż mało co przed tem dostał 1,900 złr. stypendyum na osiem miesięcy dla studyów w Lipsku. I tak dalej!

Zapewne, miłość rodzinna jest rzeczą bardzo piękną i pożądaną, ale związek rodzinny w celu wzajemnego popierania się nie jest ze stanowiska publicznego ani pięknym, ani pożądanym. Stosuneczki, których rąbek tajemnicy podniosłem, dają miarę tego, jak sobie radzi i czem się trzyma stronnictwo krakowskie. Gdzie nie można połączyć stanowiska z pokrewieństwem, tam się je łączy z poniżeniem godności ludzkiej i wysuwa się na przód pokornych, cichych. Im potrzebni figuranci, a od gadania mają Tarnowskich w Krakowie i Dzieduszyckich we Lwowie.

Cho.

PAMIĘTNIK.

Losy kanalizacyi.

W ciągu lat dziesięciu Warszawa zdobyła się na ważny środek uzdrowotnienia — kanalizacyę, ale tylko w „lepszych“ dzielnicach miasta, to jest tam, gdzie wogóle ludność zamożniejsza potrafi jako tako swoją zasobnością materyalną zwalczać warunki niehygieniczne, gdzie są mieszkania względnie obszerne i wygodne, podwórza czyste i przestronne, ulice dość szerokie i starannie zamiatane. Przez to dziesięciolecie na Powiślu i Pradze krążyły wieści o zbawienności kanalizacyi. Ubodzy mieszkańcy dzielnic upośledzonych chciwie powtarzali pogłoski o *piątej seryi*, która nareszcie miała do nich dotrzeć, dać im trochę dobrej wody i czystego powietrza. Pogłoski te bardzo logicznie wypłynęły z rozwoju robót. Jeżeli się prowadzi przez długie lata jakieś doniosłe i kosztowne dzieło, dające nietylko znaczną sumę zdrowia społeczeństwu, dochód zarządowi miejskiemu na wzmocnienie jego gospodarki i wreszcie zarobek sporej rzeszy wyrobników i urzędników, to przecież bardzo prosty stąd wniosek, że dzieło takie nie może być przerwane lub niedokończone bez wielkich strat dla setek tysięcy ludzi. Liczono więc napewno, że owa serya piąta nie poprzestanie na dokończeniu kanalizacyi górnej części miasta, lecz zejdzie na nędzny, cuchnący, brudny padół wiślany, przekroczy rzekę i obejmie Pragę, zaniedbaną, jak liche miasteczko. Tymczasem naraz rozbiegła się wieść, że skanalizowanie tych dzielnic, przez logikę zalecane do zadań najpilniejszych, nie może przyjść do skutku z braku środków odpowiednich. W sprawie tej zwołano przed kilku dniami osobne narady, na których odczytano odezwę kilkudziesięciu mieszkańców pokrzywdzonych. Dowodzą oni, że kanalizacya dolnej części miasta dla dobra hygieny publicznej jest konieczna i pilna. Prośba ta wielce racyonalna, lecz gołosłowna, rozbiła się o twarde cyfry. Projekt piątej seryi oznacza kosztorys 4,500,000 rs., z których 3,600,000 przeznaczono na roboty wodociągowe i 900,000 na skanalizowanie tylko górnej części. Zdaniem magistratu, finanse miasta pozwalają na zaciągnięcie takiej pożyczki. Przed rokiem wszakże komisya, wybrana przez p. prezydenta, zwróciła uwagę na projekt inż. W. Lindleya, który zalecał pożyczkę 6,600,000 rs., czyli o 2,100,000 więcej niż podaje magistrat. Suma taka najzupełniej byłaby dostateczną dla dokonania urządzeń kanalizacyjnych i wodociągowych na Powiślu i Pradze. Wobec tak poważnego i dobrze już dziś procentującego dzieła, zdawałoby się, że nie powinno być najmniejszych trudności w zdobyciu owych 6,600,000 rs., że miasto może łatwo ponieść ciężary, z tej pożyczki wynikające. Innego zdania byli rajcowie. Twierdzą oni, że projekt magistratu z budżetem 4,500,000 rs., tj. dla dokończenia kanalizacyi tylko górnej części miasta, nie pociągnie już wielkich zabiegów do wprowadzenia w czyn, gdy przeciwnie—wniosek W. Lindleya wymagałby opracowania nowego projektu, którego przeprowadzenie przez różne szczeble formalności, pochłonęłoby dużo czasu. Czyż istotnie nie można byłoby tego uskutecznić *w ciągu roku*, tj. do chwili rozpoczęcia piątej seryi na wiosnę w r. 1896? Co dziwniejsza, że i dawny wnioskodawca, p. Lindley, zmienił dziś zdanie i powołuje się na powyższe trudności. Tak więc mieszkańcy Powiśla i Pragi przez długie jeszcze lata wdychać będą wyziewy uliczne, pić wodę mętną z miliardami bakteryj, chodzić po wielkich śmietnikach nad brzegiem rzeki i opowiadać swym dzieciom, jak to ludzie w górnej Warszawie nietylko piją przezroczystą wodę, ale nawet kąpią się w niej; jak kiedyś na tych samych śmietnikach wyrosną piękne drzewa, bruki i kamienice i jak owi górni mieszkańcy będą się wtedy garnąć do tych dolnych dzielnic dla świeżego powietrza. Może jaki etnograf wpisze te bajki do swojej księgi i wzbogaci „folklorystykę“ krajową...

—P.—

Fałszerstwa.

Pod tą nazwą istnieje w pismach naszych niemal stała rubryka, w której co parę dni czytamy o wykryciu podrabianych produktów spożywczych. Najwięcej ich krążyło w handlu przed świętami, ale toż komisya zdrowotna najczynniejszą w tym czasie była; owocem zaś jej pracy są ciekawe i pożyteczne dla ogółu odkrycia w piwnicach. Znalazła ona sporo fabryk i „pracowni chemicznych,“ wyrabiających przeróżne zaprawy dla win *starych*. Do nadania np. „myszki“ służył odwar z grzybów, smak „ananasowy“ wyrabiano z masła zgorzkniałego, przytem wytwarzano mnóstwo olejków i barwników, które służyły do robienia wielu gatunków „win“ szkodliwych, sprzedawanych nawet po pięć rubli butelka. Warszawa ma przynajmniej jaką taką obronę ze strony komisyi lekarskiej. Gorzej z prowincyą, która całkowicie jest oddana na pastwę fałszerzy, umiejących podejść nietylko ludzi ciemnych, lecz i wyzyskiwać naiwność oświeconych. Przeszło od miesiąca, w gub. kaliskiej na pograniczu Prus handlarze sprzedają herbatę „prawdziwie chińską,“ po 2 marki za funt. Ma to być towar przemycany i dla tego tani. To też nabywców znalazło się mnóstwo, a wielu z nich zaczęło chorować, co przypisywano zaziębieniu. Dopiero jedna z konsumentek przypadkowo wykryła źródło choroby i—herbaty chińskiej: W szklance odwaru zostawionego na noc, spostrzegła nazajutrz trzy warstwy odmiennego koloru. „Jedna—pisze korespondent *Kuryera warsz.*—obrączkowata miała połysk mleczno-srebrzysty, druga znacznie większa — przezroczysto-żółtawy, trzecia u samego spodu była gęsta i podobna do proszku ceglanego. Po wstrząśnieniu tej masy na dnie szklanki ukazał się proszek biały i lepki.“ Tym razem do wykrycia nadużyć posłużył przypadek, który jednak nie usunie handlarzy i ich towaru ani dobrej wiary tłumu, dopóki sami aferzyści nie osiądą w kozie. Pomyślmy wszakże, ile takich pułapek na zdrowie i życie ludzkie rozstawiono zręcznie w przeróżnych postaciach, które wykryć może nie policya lecz badanie naukowe. Ponieważ ono nie ma swoich posterunków na prowincyi, więc nadużycia szerzą się tam bezkarnie stokroć silniej niż w Warszawie. P. A. Bukowski w *Wiadomościach farmaceutycznych* położył nacisk na konieczność pomnożenia „stacyj chemicznych“ w kraju i na poparcie tej potrzeby przypomniał szereg nadużyć, wychodzących z miejscowości nieobjętych taką kontrolą: „Wszak niezbyt dawno znaleziono w Warszawie fałszowaną herbatę w opakowaniach Ch. Cukierbauma z Łomży, A. Rosona z osady Jedwabne, A. Prawera z Częstochowy, Rabinowicza z Wierzbołowa; wszak pierwsze okazy herbaty, obciążonej opiłkami mosiężnemi, dostarczono z gub. kieleckiej, łyżki blaszane, pobielane czystym ołowiem, pochodziły z fabryki W. Weissmana w Przedborzu, pierwsze próby limonad gazowych, słodzonych sacharyną, przesłano do badania z okolic Warszawy, silnie zanieczyszczone furfalem i fuzlem wódki wytwarzane były w podrzędnych dystylarniach prowincyonalnych, różne gatunki mąki, zanieczyszczonej piaskiem, otrębami i ziarnem, pochodziły z Sochaczewa.“ Ten krótki przegląd powinien być chyba dostatecznym bodźcem do zorganizowania

walki z fałszerstwem za pomocą stałej i obowiązkowej kontroli produktów spożywczych we wszelkich najdrobniejszych ogniskach handlu na prowincyi. Jestem pewny, że ludność dla zaoszczędzenia zdrowia i życia swego, chętnie poniosłaby jakiś podatek na utrzymanie tych laboratoryów i ich pracowników. Dotąd w Królestwie Polskiem tylko Warszawa, Lublin i Piotrków mają środki badania produktów spożywczych. Mieszkańcy zaś innych w znacznej większości nawet nie wiedzą o istnieniu takich sposobów przeciwdziałania fałszerstwu. Jakąż drogą można byłoby rozbudzić tak zwaną „inicyatywę“ w tej mierze?—Najwłaściwiej powinni tem się zająć lekarze. Ponieważ Warszawa i niektóre miasta gubernialne posiadają Towarzystwa lekarskie, więc od nich należy oczekiwać bodźców do stworzenia w różnych miejscowościach pracowni chemicznych i stałego nadzoru nad artykułami żywności. *—Z.—*

Poczta.

Warszawa przy ludności przeszło pólmilionowej i ogromnym ruchu korespondencyjnym, posiada lokale pocztowe tak ciasne, że nie mogą one nawet w ½ odpowiedzieć potrzebom istotnym. Wysłanie lub odebranie listu pieniężnego i rekomendowanego, posyłek, kupno marek, to jest zadanie, które nie zawsze może się udać ludziom, ceniącym czas. Przed okienkami bowiem urzędników prawie zawsze zalegają takie tłumy, jak przed kasą teatralną podczas występów Reszków lub Mierzwińskiego. Kto ma do odebrania taką sumę, której poczta nie może odesłać do domu, ten musi uzbroić się w cierpliwość, znieść wszystkie nieprzyjemności ścisku i dobrze pamiętać o swoich kieszeniach w tłumie. Inaczej sobie radzą wysyłający pieniądze albo listy frankowane. Zastawszy ciżbę na poczcie głównej, wędrują do filij, gdzie chociaż przy natłoku ludzi trudno nieraz drzwi otworzyć, wyczekiwanie jednak może być nieco krótsze. Przy tych wszystkich niedogodnościach, uciążliwych zarówno dla publiczności, jak i urzędników, pracujących gorączkowo w powietrzu zużytem przez tłumy, poczta samochcąc przysparza sobie kłopotu, również ze stratą czasu interesantów. Każe np. odbierać osobiście listy rekomendowane zagraniczne, z tego powodu, że się komuś podoba pisać je na papierze grubym, a więc wzbudzającym podejrzenie, iż pieniądze drogą nieprawną są przesyłane. Czyż owej formalności nie można usunąć w ten sposób, ażeby adresanci w domu przy roznosicielach otwierali takie listy, albo żeby je przeglądano w urzędzie pocztowym z upoważnienia odbiorcy, bez jego udziału?

Towarzystwo ratowania tonących.

Jest to zdaje się najskromniejsza u nas instytucya, nie reklamowana, nie popierana rautami, balami, koncertami itd. Nawet posiedzenia jej bywają tak rzadko, a sprawozdania z obrad tak pobieżne, że chyba bardzo mała garstka wie o jej istnieniu, a jeszcze mniejsza stale pamięta o potrzebach. To też nie rozwija się ona szybko i nie obejmuje szerokich zadań; dla usprawiedliwiania swej nazwy poprzestaje tylko na ratowaniu tonących. Jest to obowiązek, wynikający z pięknych uczuć: miłości bliźniego. Ale czy zawsze uratowani są wdzięczni za pomoc?.. Nie liczmy jednak garstki złorzeczących, którym nie pozwolono na razie zrzucić największego ciężaru — życia, a zważmy, ile ofiar zabiera u nas woda przypadkowo i jak mało dotąd mamy środków, skutecznie przeciwdziałających niebezpieczeństwu. Towarzystwo z braku odpowiednich zasobów nie może rozwinąć swej działalności w całej pełni; poprzestaje tylko na udzielaniu nagród jednostkom odważnym i dzielnym, narażającym swe zdrowie i życie przy ratowaniu. Ponieważ takich jednostek jest mało i najczęściej pochodzą one z warstw „nietowarzyskich,“ przytem nie mogą się popisywać na zawołanie, jak np. „dzielni“ wioślarze lub „sprężyści na rumakach stalowych,“ więc i społeczeństwo, nie pobudzane reklamą bezustanną, nie umie faworyzować instytucyi, obdarzającej uznaniem i nagrodą takich śmiałków. A jednak czem są owi bohaterowie „rekordów“ i wyścigów wioślowych wobec bajecznego poświęcenia „prostaków,“ którzy nie potrzebują rozbudzania altruizmu za pomocą „etyk społecznych“ i innych środków sztucznych? Towarzystwo do swoich aktów wpisało między innymi czyn następujący: W okolicach Ostrołęki uczeń szkoły realnej, Szeer, zabawiał się ślizgawką na głębokiej rzece Orży i pomimo ostrzeżeń przechodnia, dotarł do miejsca niebezpiecznego, na którem lód się załamał. Ów przechodzień, młynarz nazwiskiem Siedlecki, widząc niebezpieczeństwo, pospieszył na pomoc i pociągnięty przez tonącego, znikł wraz z nim pod wodą. Ratując się ostatkami sił i przytomności, schwycił ucznia zębami za ubranie i przebiwszy głową cienki lód, wydobył nieprzytomnego chłopca. Obu nawpół żywych przyniesiono do chaty sąsiedniej, pokrzepiono i ogrzano. Takich Siedleckich mamy niewielu, słyszymy zaś o nich mało lub o ich czynach czytamy drobne doniesienia obok szerokich opisów rekordu z zaznaczeniem minut i sekund gonitwy. Młynarz, narażający życie własne dla ocalenia młodzieńca, nie doczeka się zaszczytu sąsiadowania w pismach obok podobizn ozdobionych żetonami cyklistów lub atletów z cyrku, a nawet nie znajdzie się z nimi na wystawach sklepowych, bo, niestety, ratowania tonących nie można zużytkować na widowisko publiczne z „programem urozmaiconym“ i „niespodziankami,“ pomimo że na taką „zabawę“ rozkupionoby bilety, chociażby były droższe, niż te, którymi handlują posłańcy podczas występów najznakomitszych śpiewaków. W tem właśnie tkwi przyczyna niepopularności Towarzystwa i brak poparcia materyalnego. Cały jego majątek wynosi zaledwie 3,882 rs., wzrósł zaś w ciągu roku tylko o 685 rs., co się nazywa „stanem pomyślnym.“ Po za tem okrąg warszawski posiada stacyę ratunkową, przedstawiającą w nieruchomościach wartość rs. 1,630 i w inwentarzu ruchomym rs. 635. Jakeśmy rzekli, udziela ono tylko nagrody ratującym, chociaż właściwszem i szerszem jego zadaniem powinna być stała organizacya, któraby czuwała nad bezpieczeństwem ludzi na wodach i lodzie, a nawet niosła pomoc w razie powodzi. Mojem zdaniem, instytucya taka powinna zachęcać ogół do nauki pływania, jako jednego z najważniejszych środków bezpieczeństwa. A więc Towarzystwo zrobiłoby dobrze, gdyby zechciało stworzyć odpowiednią szkołę i wyjednać u steru oświaty obowiązkową naukę owej zręczności dla młodzieży wszystkich bez wyjątku szkół miejskich i ludowych, na wzór gimnastyki. Idąc taką drogą, możeby zyskało członków, oddanych rzeczywiście ratowaniu tonących, a rozwinąwszy za pośrednictwem filij działalność w całym kraju, przyniosłoby społeczeństwu nieocenione dobro. Umiejętność pływania stałaby się z czasem powszechną, a posterunki w miejscach niebezpiecznych stale czuwałyby nad życiem i mieniem ludzkiem. Tak rozumiem rozszerzoną działalność instytucyi i szczerze życzę, ażeby środki pozwoliły jej ten program przyjąć i w czyn go wprowadzić. *Zn.*

W DALI.

Kielce. Gazeta miejscowa zapewnia, iż w sferach urzędowych wchodzi na porządek dzienny sprawa założenia w gub. kieleckiej szkoły specyalnej z określonym kierunkiem praktycznym. W tym celu zbierany już jest wyczerpujący materyał. Rzeczoznawcy przemawiają za szkołą średnią górniczo-techniczną czteroklasową, z niższą rzemieślniczą (kurs trzyletni). Celem takich zakładów jest wykształcenie fachowe pomocników inżenierów i kierowników zakładów fabrycznych. Szkoły zaś rzemieślnicze służą dla przysposobienia pracowników dla przemysłu fabrycznego. Ustawa określa etat szkoły na 25,000 rs. rocznie, a dyrektor jej zaliczony jest do urzędników klasy V, z płacą 2,000 rs. Przed wstąpieniem do klasy pierwszej szkoły średniej górniczo-technicznej, potrzeba albo przejść kurs szkoły rzemieślniczej, złożyć świadectwo z ukończenia IV klasy szkoły realnej lub wprost zdać odpowiedni egzamin. W programie wykładanych przedmiotów na pierwszym planie jest matematyka, fizyka, historya naturalna, chemia, konstrukcya maszyn, sztuka górnicza, metalurgia i technologia, „markszajderstwo,“ rachunkowość i korespondencya handlowa, rysunek, nadto od 10 do 18 godzin tygodniowo zajęcia w laboratoryach chemicznych lub warsztatach mechanicznych.

Lublin. Wędrowne towarzystwa aktorskie, głodne i bezdomne, są w ostatnich czasach przedmiotem rozmyślań mieszkańców prowincyi. Do szeregu różnych projektów, mających na celu poprawienie doli tych ptaków, utrwalenie i podniesienie sztuki scenicznej, przybywa jeden, bardziej określony i wyraźny, ogłoszony przez *Gazetę lubelską*. Doradza ona utworzenie „komitetu teatralnego,“ który ma rozporządzać kapitałem w sumie 1,000 rs., złożonym z udziałów po 25 rs. Kandydat na dyrektora powinien posiadać odpowiednie uzdolnienia, garderobę, bibliotekę, rekwizyty i najmniej 500 rs. gotówki. Należy do niego zapraszanie aktorów, określanie gaży w porozumieniu z komitetem, który składa za owego kierownika kaucyę, udziela mu pożyczek na zakup nowych sztuk, kontroluje dochody i wydatki, bierze kasę pod swoją opiekę i wypłaca pensye. Sam dyrektor pobiera stosowną płacę, co uchroni aktorów od wyzysku. W końcu sezonu nadwyżka będzie dzielona pomiędzy współpracownikami w stosunku do ich gaży. Myśl takiej organizacyi jest dobrą i życzyć trzeba, ażeby Lublin nie poprzestając na projekcie wydrukowanym, zechciał go w czyn wprowadzić. Chodzi tu bowiem nie tylko o dostarczenie dobrej zabawy mieszkańcom miasta, lecz i o utrwalenie bytu owych tułaczów prowincyonalnych.

Kijów. *Kijewlanin* donosi, iż podczas kontraktów tegorocznych ujawniło się zupełne bankructwo dzierżawców w obrębie dóbr apanażowych, pomimo, że ministeryum Dworu zniżyło tenutę do połowy ceny, dobrowolnie umówionej i przez obie strony przyjętej na mocy kontraktów formalnych, zawartych przed kilku laty. Obecnie dzierżawcy oświadczyli, że wobec przesilenia rolnego nie mogą opłacić nawet sumy zniżonej. Skutkiem takiego oświadczenia, kijowski zarząd apanażów zlicytował ich zupełnie za niedobory czynszów. Niektórzy zrujnowani z gub. podolskiej byli właścicielami gruntów, przy dobrych zaś cenach zboża, robili bardzo korzystne interesy na dzierżawach. W ostatnich jednak czasach stracili nietylko oszczędności dawne, lecz i majątki własne.

Petersburg. Projekt ustawy normalnej dla giełd, opracowywany przez członka rady ministeryum skarbu, p. Cytowicza, zarysowywa się coraz jaśniej. Oto główna jego osnowa: Stowarzyszenie giełdowe powinno stanowić korporacyę dostępną dla wszystkich stanów, wybór zaś członków ma odbywać się za zgodą komitetu giełdowego. Aby wprowadzić zupełny porządek w obrotach, postanowiono usuwać ze składu giełdy tych członków, którzy w czemkolwiek wykroczą przeciw prawidłowemu prowadzeniu operacyj. Kurs giełdowy ustanowiony będzie

na specyalnem posiedzeniu, z udziałem przedstawiciela banku państwa. W celu zachowania śladu tranzakcyj, zawieranych na giełdzie, będzie istniał specyalny regestr, prowadzony przez regenta giełdowego, pod odpowiedzialnością komitetu. Czynności meklerów będą uprzystępnione dla wszystkich, i każdy członek giełdy będzie miał prawo zostać meklerem, byleby zawiadomił o tem komitet giełdowy. Wewnętrzną organizacyę w pewnych granicach będą mogły sprawować u siebie oddzielne giełdy, każda na swoją rękę, stosownie do warunków miejscowych. Przepisy te podlegać mają aprobacie p. ministra skarbu.—Krążą pogłoski, iż instytut weterynaryjny w Petersburgu otwarty będzie przy końcu roku b.

SPRAWY EKONOMICZNE

CEL I DROGI GOSPODARKI NOWOCZESNEJ.

I.

Śród namiętnego dążenia do coraz większej ilości dóbr materyalnych, rozszerzania skali nowoczesnej produkcyi, rzadko kiedy zadajemy sobie pytanie, gdzie kres tej pogoni za bogactwem, które nie może być przecież celem samo w sobie?

Odpowiedź na to pytanie jeżeli nie rozstrzygającą ostatecznie, to przecież taką, która upoważnia do stawiania prawdopodobnych wniosków, dać może tylko przegląd gospodarki dzisiejszej i jej rezultatów z ostatnich lat w porównaniu z tymi, jakie dawała przed stu lub pięćdziesięciu.

Taki metodycznie ugrupowany materyał faktyczny podaje cenna praca J. A. Hobsona *), która wkrótce przyswojona będzie literaturze polskiej. Materyał ten doprowadzony aż do r. 1890, a głównie uwzględniający stosunki angielskie, daje autorowi możność oświetlenia dążności, która przejawia się w dzisiejszym rozwoju gospodarczym i której ważniejsze punkty postaramy się podać dziś czytelnikom.

Dopóki głównym czynnikiem wytwórczości była praca ludzka, posiłkująca się narzędziami ręcznemi, która nie umiała wyzyskać należycie sił przyrody, produkcyjny wydatek energi rzadko kiedy mógł zadowolić zapotrzebowanie na dobra gospodarcze. Ukazanie się maszyny we wszelkich gałęziach wytwórczości zmieniła ten stan rzeczy. Dzisiejsze narody przemysłowe wiele szybciej produkować mogą towary, niż zdobywać możność ich nabywania. Z ogólnej produkcyi narodowej coraz mniejsza część idzie na kapitał zmienny, tj. na płace zarobne i wynagrodzenie pracujących wszelkiego rodzaju, większa zaś na stały jego dział, który pobudza do nieustannego rozszerzania skali produkcyi, do wprowadzania nowych maszyn i ulepszeń technicznych, szeregu przedsiębiorstw specyalnie zajmujących się ich przysposabianiem. Takie ulepszanie metod wytwarzania i połączona z niem rosnąca skala produkcyi mogłyby być usprawiedliwione tylko wobec równie szybkiego przyrostu zapotrzebowania; w dzisiejszych stosunkach pobudzają do szukania coraz nowych i dalszych rynków i do wzajemnej ich zależności, rodzą międzynarodowość produkcyi. Wysuwają się też na plan pierwszy nowe gałęzie, które regulują całość ruchu przemysłowego. Zamiast rolnictwa, które występowało jako przemysł zasadniczy i przez trudność transportu nadawało całej wytwórczości charakter narodowy, zajmuje wybitne miejsce przemysł węglany i żelazny, niezbędne dla istnienia naszych fabryk, dla dzisiejszych środków komunikacyi, stanowiące główną sprężynę i regulatory wszelkiej produkcyi.

W taki sposób przemysł, który wytwarzał niegdyś dla bliskich rynków i wiadomego koła konsumentów, który rzucał od połowy naszego stulecia towary swoje na nieznane rynki, ale licząc w każdym razie na spożywców współczesnych, dziś wytwarza przeważnie środki użyteczne dla przyszłej produkcyi, a więc rachuje na spożywców, których upodobania i potrzeby zupełnie przewidzieć się nie dają. Coraz większa ilość towarów dostaje się na rynki międzynarodowe, które działają stale, szybko, odnajdując wciąż nowe kanały i drogi zbytu. Z początku okresu kapitalistycznego obszary Azyi, Afryki południowej i środkowej, Australii i Ameryki południowej dostają się pod przemysłową i handlową kontrolę narodów europejskich, stanowią miejsce odpływu dla ich towarów. Dziś jednak do tych odległych kolonij przeniosły się już kapitały europejskie i wytwarzają groźne współzawodnictwo dla krajów macierzystych, co widzimy np. w przemyśle bawełnianym Indyj, który dzięki taniości siły roboczej, z powodzeniem współzawodniczyć może z angielskim.

Takie powstawanie coraz to nowych ognisk produkcyi wytworzyło terytoryalny podział pracy, zależny od klimatu, warunków geograficznych, przyrodzonych bogactw kraju, wreszcie od charakteru produkcyi lokalnej, czy narodowej, zawdzięczającego swe istnienie pewnym zwyczajom przemysłowym i umiejętności, którą przemysł fabryczny zużytkować potrafi. Tylko na podstawie tego wyspecyalizowania możebną i konieczną się staje międzynarodowość zbytu. Przecież nawet wyspecyalizowanie, zgodne z warunkami naturalnymi, nie zapewnia stałości wytwarzania na czas dłuższy, bo z jednej strony wyczerpują się dary natury, jak np. kopalnie węgla, minerały lub metale, z drugiej zmienia się zapotrzebowanie, moda, sposoby produkcyi. Nowe potrzeby wywołują nowe rodzaje przemysłów, a te z kolei naruszają istniejącą już równowagę środowisk wytwórczych, wysuwając coraz nowe na plan pierwszy.

Terytoryalny podział pracy zmienia również obraz pojedynczych okolic. W Lancashire np. przestrzeń, zajęta przez przemysł, wynosi dziś tylko koło 25 mil kw. (angielskich), gdyż wyodrębniły się tu dwa miasta każde dla innej produkcyi, Liverpool jako rynek bawełny, a Manschester jako punkt wytwarzania przędzy bawełnianej i tkanin. Przytem i sam Manchester coraz wyłączniej zajmuje się handlem wywozowym i przywozowym, dokoła niego zaś miasta południowe takie jak Aspton, Middleton zajmują się wyrabianiem przędzy średniej grubości, gdy północne Polton, Chorley, Preston wyrabiają tylko najcieńszą przędzę. Przemysł manchesterski wyspecyalizował się do produkcyi maszyn, któremi zaopatruje przemysły włókniste. Dalej idący podział pracy wyodrębnił również przemysły obsługiwane przez kobiety i dzieci (głównie włókniste) od przymysłów męzkich (kopalniane, przerabiające żelazo), w których prawo albo brak odpowiednich warunków fizycznych kobietom pracować nie pozwala. W taki sposób wytwarza się i charakterystyczny podział ludności, powstają miasta przeważnie kobiece lub męzkie (*he-and shetowns*), albo też dzielnice miejskie wyraźnie różniące się między sobą.

Wszystko to dąży do zwiększenia skali dzisiejszej produkcyi, przyczem maszyna nietylko powiększa wydajność pracy ludzkiej, siłę, której nie wyrównałyby nawet znaczne grupy robotnicze, ale wytwarza większą systematyczność, jednolitość i dokładność pracy. Maszyny podniosły dobroć gatunku towarów wełnianych, nowe udoskonalenia w młynach wpływają na lepsze gatunki mąki. Maszyny wykonywać mogą pracę zbyt piękną i delikatną dla palców ludzkich, od których wymagałaby nadzwyczajnego przygotowania. Przeciwko maszynom użyć nie można przeto argumentu, że przy dokładniejszej robocie muszą być zastąpione przez pracę ręczną. Dopiero tam, gdzie ustaje wytwarzanie na wielką skalę, a występują potrzeby i gusty indywidualne, maszynowa produkcya ustąpić musi przed ręczną.

Okres ten może być przecież tylko następstwem większego dobrobytu szerokich mas ludności, a więc wyższych płac zarobnych i lepszych warunków pracy. Bezwątpienia jak jedno, tak i drugie leży w humanitarnych programach naszej epoki; humanitaryzm musi przecież spoczywać na gruntownych podstawach korzyści ogółu i to nietylko moralnych, ale i materyalnych jeżeli w naszej epoce przewagi osobistego interesu nad ogólnym ma on czynić szybkie postępy.

Nie będziemy się tu zastanawiali nad znanemi zjawiskami skupiania się kapitałów, monopolizowanie rynku przez syndykaty, kartele i trusty, wzrostu miast kosztem wyludniania się otaczającej je okolicy. Hobson daje nam obfity materyał, potwierdzający prawdziwość tych obserwacyj, które już dziś do rzędu praw społecznych podniesione być mogą.

Czy owa rozszerzająca się ciągle skala produkcyi, posiada tendencyę zmniejszania dobrobytu robotnika, czy dąży do zniżenia poziomu jego inteligencyi, czy też przeciwnie w tendencyi jej już leży polepszenie bytu mas robotniczych?

W swoim czasie Tomasz Brassey *) dowiódł przez porównanie stosunków angielskich z kontynentalnymi, że Anglia zawdzięcza swoje stanowisko przemysłowe większej intensywności, z jaką pracować może lepiej płatny robotnik? Jakkolwiek rozpatrywał on takie rodzaje pracy, które wymagają znacznych wysiłków fizycznych, jak w kopalniach, budowa dróg i kolei żelaznych, to jednak wnioski jego o tyle są ogólne, że w ostatnich latach dr. Schulze-Gävernitz rozpatrując inne, głównie przemysły włókniste, dochodzi do analogicznej teoryi. „Koszty pracy okazują się najniższymi tam, gdzie istnieją najdogodniejsze jej warunki, gdzie jest najkrótszy dzień roboczy a najwyższa suma płac tygodniowych robotnika.“ Na dowód przytaczamy tabliczkę porównawczą, podaną przez autora.

	Tygodniowy produkt pracy 1 ro[illegible] yardach	[illegible] 1 yarda	Ilość godzin [illegible]nej pracy	Płace [illegible] szyll.
Niemcy i Szwajcarya	466	0,30	12	11
Anglia	706	0,27	9	16
Ameryka	1,200	0,20	10	10

Rezultat ten wynika z postępów przemysłu nowoczesnego, które najdalej zaszły w Ameryce i wyrażają się przez: 1) krótszy dzień roboczy, 2) wyższy zarobek tygodniowy, 3) niższą płacę od sztuki, 4) tańszy produkt, 5) zwiększoną wytwórczość pojedynczego robotnika, 6) wzrastający pośpiech w pracy maszyn, 7) coraz większą ilość i rozmiar maszyn w porównaniu z robotnikiem. Tam więc, gdzie przemysł wytwarza przy pomocy rozwiniętej techniki, wysokie płace zarobkowe przynoszą korzyść nietylko robotnikowi, ale i kapitaliście. W przemysłach bawełnianych Ameryki robotnice wysoko płatne a zręczne stanowią oszczędność dla fabryki.

Porównywając współistniejący przemysł maszynowy i ręczny, autor dochodzi do wniosku, że robotnicy, zajęci w pierwszym, mają wogóle lepsze warunki bytu, nie mówiąc już o tem, że praca ich jest bez porównania wygodniejszą. Dzięki ostatniemu warunkowi, przewidywać można, że liczba

---

*) *The evolution of modern capitalism.* Londyn, 1894.

*) W znanem dziele *Foreign work and englisch wa-* [illegible]

robotników, zajętych bezpośrednio produkcyą maszynową, będzie się ciągle zmniejszać, a coraz większe ich odsetki zajęte będą przy przewozie i podziale bogactw, gdzie maszyna nie odgrywa już roli pierwszorzędnej. Wzrastać będzie również i zapotrzebowanie na usługi osobiste już choćby dlatego, że wzrasta dobrobyt klas pracujących.

Wbrew ogólnie przyjętemu dziś mniemaniu, że praca z pomocą maszyny zniża intelektualny poziom robotnika, Hobson twierdzi, że praca dzisiejsza wobec wzrastających rozmiarów maszyny, jej potęgi i złożoności, stawać się musi coraz bardziej intelektualną. Przedewszystkiem mnóstwo wynalazków dzisiejszych dąży do zastąpienia pracy ludzkiej przez automaty; zrazu pracę mężczyzn dorosłych zastąpić mogą kobiety i dzieci, potem i ci pracownicy stają się zbytecznymi, maszyny nie potrzeba już obsługiwać i dopełniać, ale należy ją nadzorować i kierować nią, tu więc praca musi stać się nie tyle ręczną, ile umysłową. Na dzisiejszem zaś swojem stadyum maszyna wymaga nie tyle siły fizycznej, ile uwagi, cierpliwości, systematyczności, które posiadać mogą zarówno mężczyźni, jak kobiety i małoletni. Dziś więc maszyna wciąga do produkcyi coraz szersze koła ludności; że jednak liczba zajętych robotników nie wzrasta równie szybko, jak skala produkcyi, jednocześnie widać tendencyę do oswobodzenia coraz większej ilości pracy ludzkiej od zajęcia wytwórczego. Zużytkowanie owej przewyżki, która się zwiększa i która w interesie ogólnego postępu zwiększać się powinna, stanowi dziś jeden z najważniejszych problematów społecznych. Według Hobsona, zużytkowanie tych sił zbytecznych przy produkcyi masowej zależć będzie od rozwoju indywidualnych gustów i wymagań, które wraz z dobrobytem mas szerokich i krótszym czasem, poświęcanym przez nie pracy zawodowej, wzrastać muszą nieustannie. Indywidualizowanie produkcyi wymaga pracy ręcznej; w tę sferę maszyna nigdy nie może wkroczyć. Autor przewiduje przeto chwilę, w której artykuły codziennego użytku, masowe, o tyle będą dostępne szerokim kołom, że wytwarzanie ich i zdobywanie zejdzie na plan drugi, pochłaniając tylko część sił społeczeństwa. Niezbędnym warunkiem dla urzeczywistnienia się tego ideału jest ograniczenie przyrostu ludności, która inaczej obracać by się musiała w błędnem kole wysiłków dla zaspokojenia potrzeb coraz liczniejszych i wciąż przybywających indywiduów.

O ile wykazał dotychczasowy rozwój ludności, warunek ten nie jest niemożliwy do urzeczywistnienia. Przyrost ludności jest mniej szybkim wśród klas i okolic, które cieszą się wyższym dobrobytem, dążą do wyższej stopy życiowej, gdzie przewidywanie przyszłości stanowi ważny czynnik regulacyjny, tam wreszcie, gdzie kobieta jest swobodniejszą i więcej świadomą swojego stanowiska, jako członek społeczeństwa.

Tak więc na pytanie, postawione na początku niniejszego artykułu, tendencya dzisiejszego rozwoju społeczno-gospodarczego dać może zadowalającą odpowiedź. Z jednej strony wzrost ilości towarów i bogactwa pozwala uważać kwestyę możności zaspokojenia potrzeb pierwszorzędnych za rozstrzygniętą. Z drugiej dobrobyt mas o tyle jest związany z powodzeniem wytwórczości dzisiejszej, że wzrastać musi, a wraz z nim ilość swobodnego czasu, jaką wytwórca rozporządzać może. Podniesieniu zaś dobrobytu towarzyszyć musi pojawienie się potrzeb indywidualnych, które, jak nie należy o tem wątpić, w znacznej części będą natury umysłowej i artystycznej.

S. Z. Dański.

GORZELNICTWO WOBEC MONOPOLU.

Próba monopolu skarbowego w paru guberniach powiodła się najzupełniej, więc wkrótce nowa organizacya ogarnie kilkadziesiąt innych, a w tej liczbie południowo i północno-zachodnie. Dotąd wszakże większość wytwórców nie może sobie zdać dokładnej sprawy, w jakim stosunku znajdzie się gorzelnictwo prywatne wobec sprzedaży państwowej i jakie zrodzą się warunki ekonomiczne dla tej gałęzi produkcyi. Jedni, zbyt pesymistycznie nastrojeni, przypuszczają, że pola handlu i przemysłu w tej mierze zmniejszą się znacznie, więc myślą zawczasu o ograniczeniu produkcyi, lub pozostają w zupełnej nieświadomości i biernem oczekiwaniu. Najwięcej wszakże jest bodaj takich, którzy roją sobie różową przyszłość, oczekują nadzwyczajnego wzrostu zapotrzebowania, przeróżnych ułatwień i ulg. Wobec tego tu i owdzie daje się spostrzegać ruch charakterystyczny: krzątanina około zwiększenia normy wytwórczości gorzelni istniejących i—szczery zamiar ponownego otwierania zamkniętych. Dla wszystkich, żywo i bezpośrednio zainteresowanych, wielkie znaczenie mieć powinna przestroga ministeryum skarbu, świeżo ogłoszona, głównie skierowana do właścicieli małych gorzelni, t. zw. rolniczych, czyli gospodarczych. Jak wiadomo, prawo z r. 1890 wzięło je w opiekę pod względem ulg akcyzowych i to właśnie wpłynęło na rozwój drobnych ognisk fabrykacyi spirytusu tudzież zahamowało szybkość wzrostu skali produkcyi wielkiej. Ten bodziec, środkami prawodawczymi wywołany, trwa jeszcze dotychczas, a nadzieje nieuzasadnione lub budowane na mylnych rachubach, mogą wzniecić ruch wcale niepożądany, dążący do nadprodukcyi, która już dziś dotkliwie odczuwać się daje.

W ostatniem dziesięcioleciu widzimy stale ogromne zaofiarowanie spirytusu a stosunkowo zbyt mały popyt. Skutkiem tego ilość gorzałki w składach wzrasta z rokiem każdym i pomimo zmniejszenia się tych zapasów po roku nieurodzajnym 1890, z początkiem r. 1894 ogólna ilość na składach wynosiła przeszło 7 milionów wiader 40°, czyli więcej niż czwartą część rocznej produkcyi w całem państwie. Fakty te wymownie chyba przekonywają, że powstawanie nowych gorzelni, lub wznawianie nieczynnych, wreszcie zwiększenie skali wytwórczości, może doprowadzić gorzelnictwo do bardzo krytycznego położenia. Otóż samo ministeryum skarbu ostrzega, że ani prawo o gospodarczym wyrobie gorzałki, ani skarbowa jej sprzedaż nie mogą ochronić przemysłu przed fatalnemi następstwami nadprodukcyi. Prawo ochronne wstrzymało upadek drobnych gorzelni i wzrost normy wytwórczości wielkich, ale nie posiada tak cudownych środków, iżby pod ich wpływem rozszerzyły się rynki zbytu, a zatem możność budowania coraz nowych fabryk. Drobny gorzelnik odczuwa pomoc prawną, ale tylko w takich razach, jeżeli wznosząc gorzelnię nie liczy jedynie na ulgi akcyzowe, lecz przedewszystkiem rozważa warunki rynków. W przeciwnym razie nowe ogniska mogą powstawać tylko kosztem zmniejszenia produkcyi istniejących.

Na rządowej sprzedaży spirytusu nie można również budować zbyt wielkich nadziei, bo i przy tym systemie należy ściśle się liczyć z rozmiarami wytwórczości i ze stanem rynków, gdyż skarb nabywając towar i oznaczając ceny, będzie musiał baczyć na rozmiary zapotrzebowania i podaży. Przytem trzeba jeszcze zwrócić uwagę na to, że wedle przepisów z ogólnej ilości spirytusu, zakupowanego przez rząd, $^1/_3$ musi być nabywana przez licytacyę, a więc wejdzie tu w grę silna konkurencya dostawców. Przeszło $^2/_3$ rocznej ilości rząd zakupuje po cenach co rok określanych przez ministra skarbu, stosownie do warunków gorzelnictwa w danym obrębie. Oznaczona ilość zapotrzebowania jest rozdzielana śród wytwórców, odpowiednio do najwyższej normy produkcyi każdej ich gorzelni. Przy tem obliczaniu brane są w rachubę trzy poprzednie kampanie gorzelnicze. Przypuśćmy, iż przepis ten mógłby być nieco zmieniony z nadaniem pewnych ulg dla gorzelni gospodarczych, np. za pomocą usunięcia sprzedaży licytacyjnej. Nie można atoli marzyć o żadnych ułatwieniach dla gorzelni nowych lub dawnych, powołanych powtórnie do czynności. Prawo ochronne ma bowiem na względzie tylko podtrzymanie już istniejących i czynnych gospodarczych i wcale nie zmierza do krępowania przemysłu wielkiego w tej dziedzinie.

Dla wytwórców niezmiernie ważne jest pytanie: czy monopol skarbowy zwiększy ogólne zapotrzebowanie spirytusu? Można z góry przewidzieć, że nie, ale jednocześnie liczyć, że obecna ilość spożycia nie zmniejszy się także. Ponieważ przy kupnie i sprzedaży skarbowej będzie spożywany tylko spirytus oczyszczony, więc wytwórcy znajdą możność zbywania gorzałki surowej o 5—8% więcej, tj. o taką ilość, jaką dziś stanowi stratę przy rektyfikacyi. Również może nieco wpłynąć na zwiększenie zapotrzebowania bezpośredniego usunięcie z rynku gatunków lichych, wódek słabych, którym jest nadawana moc pozorna za pomocą różnych domieszek ostrych. Ale z drugiej znowu strony z wprowadzeniem sprzedaży skarbowej znikną te różne środki i środeczki, pobudzające ludność ubogą do kupna gorzałki, jak np. otwieranie kredytu, dawanie trunków na rachunek plonów rolnych, zarobków, pod zastaw rzeczy itd.

Taki jest w ogólnym, bardzo pobieżnym zarysie obraz warunków gorzelnictwa wobec monopolu skarbowego. Wytwórcy nie mogą liczyć ani na rozszerzenie rynków zbytu, ani na jakieś nadzwyczajne ulgi akcyzowe lub bajecznie wysokie ceny, ofiarowywane przez skarb, zwłaszcza dla zaspokojenia tej $^1/_3$ zapotrzebowania drogą licytacyi. Tymczasem składy krajowe i ogniska handlu międzynarodowego są przepełnione, więc nie ma żadnych widoków zbytu owego nadmiaru, pomimo że wywóz spirytusu za granicę ma wielką pomoc, bo wolny jest od akcyzy i dzięki temu ceny okowity rosyjskiej na rynkach zagranicznych są bajecznie nizkie. Czy nie ma wszakże rady na zużytkowanie nadmiaru, pozostającego wewnątrz państwa? Jeden ze środków zbawczych w tej mierze podał p. Łubieński na kwietniowem posiedzeniu sekcyi rolnej. Projektodawca zwraca uwagę na ciągły rozwój różnych gałęzi przemysłu, posługującego się spirytusem, więc gdyby produkt ten był tani, zapotrzebowanie na owe cele wzrosłoby ogromnie. Do takich rezultatów można dojść tylko przez zniesienie akcyzy od spirytusu, używanego w przemyśle. Ale tu znowu stoi na przeszkodzie ważna okoliczność: brak możności sprawdzenia, czy produkt ten pójdzie istotnie na cele właściwe. Projektodawca zaleca „denaturowanie" spirytusu, tj. zaprawianie takiemi domieszkami, które czyniłyby go zupełnie niezdatnym do użytku wewnętrznego w postaci trunku. W tem wszakże leży największa trudność, bo chemia, dzięki swemu rozwojowi, pod tym względem jest bezsilną. Umie ona oczyścić spirytus ze wszelkich domieszek i tem samem uniemożliwia zaprawienie takim produktem, który nie dałby się oddzielić, a przynajmniej żeby koszt oczyszczenia dorównywał poborowi akcyzowemu. Dotąd nauka nie dała na to sposobu, więc w razie uwolnienia od akcy-

zy spirytusu, przeznaczonego na użytek przemysłu i wszelkich laboratoryów, gorzelnicy zamiast zyskać, ponieśliby straty ogromne, gdyż spekulanci pod pozorem „celów przemysłowych,“ pokątnie zalewaliby tanim trunkiem drobne rynki. Trzeba więc cierpliwie wyczekiwać, aż badacze z dziedziny chemii znajdą sposoby „denaturowania,“ zabezpieczające spirytus od możliwości doprowadzenia go do stanu pierwotnego. A jednak przemysł, wszelkie pracownie i konsumenci prywatni zużywają dużo spirytusu nie do picia i gdyby on był tani, popyt zwiększyłby się ogromnie i pozwoliłby wytwórcom zbywać może cały nadmiar.

Za granicę na owe cele idzie, znaczna część produkcyi, tak np. w Szwajcaryi budżet Rady związkowej na r. 1895 wykazuje 33,500 cent. (32 miliony Trallesów) spirytusu denaturowanego, czyli trzecią część ogólnego spożycia, przeznaczoną na sprzedaż po cenie kosztu do użytku w przemyśle. Ale tam znowu istniejący monopol państwowy przynosi straty, które być może w części pochodzą ze sprzedaży spirytusu owego jako trunku (po oczyszczeniu niekosztownem). Więc i tam nie znaleziono sposobu zabezpieczenia się od pokątnego handlu spirytusem, mającym inne przeznaczenie. Wogóle zaś z ujemnych rezultatów monopolu państwowego w Szwajcaryi, niepodobna wnosić o przyszłości i wynikach gospodarki skarbowej w Rosyi, zasadniczo różniącej się pod wielu względami od powyższego kraju. Jedna atoli strona daje się jasno przewidzieć, tem bardziej, że ją wskazuje ministeryum skarbu: nadprodukcya ta sama, która i dziś istnieje oraz brak wszelkich widoków jej poskromienia. Na monopol zatem, jako siłę pomocniczą, ułatwiającą drogi zbytu i rozwój wytwórczości, gorzelnicy wcale liczyć nie powinni, lecz przeciwnie—muszą przejrzeć skrupulatnie swoje siły i zdolności konkurencyjne, które wejdą w grę przy nowym systemie.

Drog.

O PRAWDĘ.

P. L. Chełmickiemu, który nie może dojrzeć „Plam na słońcu.“

(Dokończenie).

To, co mówi mój przeciwnik jako o przyczynie głównej utrzymania dzisiejszego dnia roboczego, czyli o wielkiem znaczeniu żniw pod względem skutków i trudności zadania — nie wydaje mi się ani trochę usprawiedliwionem, a sądzę, że źródłem tego jest tu przesadne pojęcie, czem są żniwa. Przed laty dziesięciu kiedy gospodarowałem w Nowej Zelandyi, miałem zwyczaj właśnie w czasie żniw sypiać najdłużej; moi karbowi i polowi wyręczali mnie w dozorze zawsze dobrze, ja zaś pamiętałem tylko o tem, aby mieć dostateczne zasoby w kasie, o ile możności wprowadzić wydziałową robotę, i w końcu dnia zawsze, choćby kieliszkiem wódki, wynagradzać każde „dokończenie“ konieczne czynności.

Najemnik, biorący 30 kop., na wydziale (grabić 1 mórg, użąć i zebrać 75 prętów kw., tylko zebrać 1 mórg, itp.) pracował zwykle 7—8 godzin, *a nigdy trzynaście;* jakość roboty zapewniałem sobie groźbą usunięcia najemnika na dzień i to było wystarczające. W lat parę później, podczas zamieszkania w kraju Kafrów, miałem sąsiada, który stale kończył żniwo lepiej i wcześniej od innych, a przyczyną tego był ten mały zwyczaj; w każdą sobotę roboty u niego nie przedłużały się, jak u wszystkich, często do późnego wieczora (naturalnie bez dodatkowego wynagrodzenia) lecz były kończone o trzy godziny wcześniej, który to czas był zużywany na kąpiel, porządek koło domu własnego parobka, a wreszcie zabawę na dworskiem podwórzu. Powie p. Ch., że tak się dziać mogło u kafrów i papuańczyków, ale nie u nas; ja bym jednak na miejscu oponenta choć w ten sposób spróbował przeprowadzić reformę w dniu roboczym, a wtedy mógłby on już coś więcej powiedzieć o tem, a nie zbywać mnie twierdzeniem, że jednostki pono już wiele myślą i czują o poprawieniu doli robotnika wiejskiego. Z tryumfem zarzuca mi nieznajomość zupełną warunków czynności żniwiarskich i u nas i na całym świecie. Oto dowód: Wspomniałem o kafrach i papuańczykach, a dodam jeszcze, że anami i birmani ryż wyrywają z korzeniami, a najbardziej na północ wysunięci jakuci nożem ścinają kłosy żytnie, zupełnie nie dbając o słomę. Czym przekonał oponenta o moich uzdolnieniach fachowych? Nie, to szkoda, bo możebym i ja usiłował wejść z nim w jakiś kompromis o uznanie jego fachowości.

Tak, żniwa—to spokój dla umysłowego kierownika gospodarstwa, ale za to czas powszechnie zużywany na odwiedziny Warszawy lub wód, od połowy maja do połowy czerwca i dłużej, to praca dla niego. W przygotowaniu roli dla zapewnienia przyszłych żniw, nie zdołali mnie nigdy wyręczyć ani kafrowie, ani papuańczycy. Jak również zima — to nie szerokie przeżuwanie zbiorów (najczęściej w mieście), ale czas rozumnej technicznej ich przeróbki na nową, lepszą pracę, energię i przedsiębiorczość gospodarską. Najpowszechniej bardzo gorliwie zbieramy w lecie z krzywdą służby i zwierząt, aby najnierządniej rozproszyć to w zimie, bez korzyści istotnej i dla tej służby i zwierząt.

W przedmiocie błędów uprawy p. Ch., dochodzi już do prawdziwego zapamiętania się w swej „fachowej“ nieświadomości. Odrzuca specyalizacyę naszych gospodarstw w myśl niby elementarnych zasad żywienia roślin i racyonalnego ich następstwa w płodozmianie. Królewski absurd! Czy mój oponent nie zechciałby sprawdzić w poważnych dziełach współczesnej nauki rolniczej, że każdy płodozmian jest tylko środkiem, ułatwiającym wyzyskanie ziemi, ale przenigdy naturalnem prawem żywienia się roślin? Najlepszym płodozmianem jest ten, który zapewnia najlepsze zbiory, a cóż mi p. Ch. odpowie na to, że widziałem już setki razy, jak bogacą podłe trzy polówki, a ubożą te wszystkie „fachowe“ zmiany.

Tak, płodozmian to wyrozumowane pomaganie tylko, o ile zastosowane bywa przy doskonałej znajomości pól, ich siły, sprawności, podglebia itp. rzeczy, w trzech czwartych zupełnie obcych naszym ziemianom, lecz nigdy nie może być patentem dla „fachowości“ rolnika, a tem bardziej drogą do—Kalifornii. Nauka nie zna żadnych przeszkód (*in abstracto*), aby na jednem i tem samem polu nie miała się rodzić pszenica, groch lub kartofle, aż do nieskończoności; żąda tylko, aby zawsze każda z tych roślin znalazła warunki odpowiedniego bytu dla siebie. I to jest prawo niewzruszone, które płodozmiany pana Ch. sprowadza—do sztuczek kuglarskich. Czy panowie „fachowcy“ wiedzą kiedykolwiek dokładnie, jak wielką jest siła rodzajna ich pola dla danej rośliny?—Prawie nigdy, a więc niech się bawią w płodozmiany, bo te choć w malutkiej cząstce pokryją nieznajomość rzeczy, z której śmieje się u nas już każdy włościanin, mający *wieczne* kapuśniska i konopniska, bucharczyk—swoje niezmienne plantacye bawełny, chińczyk—ryżu, mieszkańcy Riviery—swoje oliwki i cytryny, itd. Nieraz zdarzyło mi się słyszeć wśród ziemian „fachowców,“ że łubin nie udaje się na dobrej ziemi, a bujnie wzrasta na piaskach—oto próbka inteligencyi takich rolników i tę panu Ch. posyłam do zbioru pamiątek, a mogę na drodze prywatnej korespondencyi (adres jak wyżej) służyć niewyczerpanymi skarbami, szczególnie z dziedziny rozumnych „płodozmianów.“

A teraz kończę, choć z żalem, że zaledwie cząstkę wypowiedziałem z tego, co powiedzieć bym pragnął, i rozbierając się z szat walczącego z „fachowcem,“ ślę przeciwnikowi serdeczne podziękowanie i pochwałę za dobre chęci w obronie i etyki ziemian i ich uzdolnień administracyjnych; robię to już choćby dlatego, że p. Ch. raczył łaskawie wyrazić uznanie dla mojej „sporej dozy altruizmu.“

Napoleon Rouba.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Według *Grażdanina*, ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło wprowadzić w Królestwie Polskiem ustawę miejską i już zajęło [illegible]owaniem niezbędnych materyałów.

— Ludność, która ucierpiała skutkiem powodzi tegorocznej, otrzyma ulgi w podatkach.

— Postanowiono wprowadzić inspekcyę w[illegible] w gub. kowieńskiej, połtawskiej i czernihowskiej.

— Komitet Towarzystwa św. Rafała donosi, iż rząd brazylijski nie chce bezpłatnie przewozić przez morze wychodźców z Galicyi. W przyszłości będzie wydawać dla nich tylko 500 biletów bezpłatnie (zapewne rocznie). Tylko rodziny rolników mogą korzystać z ułatwień.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi opracowało projekt przepisów, mających na celu zapobieżenie przeciążaniu pracą niższych oficyalistów kolejowych. (*Swiet*).

— *Russk. Wied.* donoszą: W ciągu ubiegłego lata w Wiedniu i Warszawie działała komisya międzynarodowa w sprawie uregulowania Wisły. Wobec tego, że Austrya szybciej, aniżeli Rosya, budowała na swym brzegu wały ochronne, prąd rzeki zniszczył urządzenia na przeciwnym brzegu i zwiększył zakres roboty. Obecnie opracowano ogólny plan regulacyi Wisły, który po przejrzeniu w ciągu tegorocznego lata przez komisyę międzynarodową, wprowadzony będzie w wykonanie jednocześnie przez obie strony. Główne roboty mają być wykonane w ciągu r. 1896.

— Pociągi błyskawiczne pomiędzy Lwowem a Wiedniem kursować będą od 1 maja przez cały rok; jazda trwać ma 13 godzin, opłata — jak na pociągach kuryerskich.

Szkoły. Do Instytutu górniczego w Petersburgu nie będą wcale przyjmowani kandydaci na drugi kurs. (*Nowosti*).

Dobroczynność publiczna. Zarząd szpitala Dzieciątka Jezus otrzyma w r. b. o 1,000 rs. więcej, niż zwykle, na koszt wychowania dzieci rodziców żebrzących.

Kuryer świąteczny. Zarząd do spraw prasowych ogłasza, że zgodnie z orzeczeniem sądu okręgowego warszawskiego, *Kuryer świąteczny* jest w jednej połowie własnością p. Włodzimierza Piąskowskiego, w drugiej — p. Adama Łaszczyńskiego.

Wystawy i zjazdy. Międzynarodowy kongres więzienny w Paryżu otwarty będzie d. 30 czerwca r. b. Udział mogą brać rozmaite towarzystwa i osoby pry[illegible]

— Zjazd drukarski w Petersburgu otwarto d. 17-go b. m. Uczestników zapisało się około 200.

— Wystawy koni rolniczych w ciągu r. b. odbędą się w następujących miejscowościach gub. grodzieńskiej: 1) 21 kwietnia w Kobryniu z nagrodami 100 rs. za klacze i 200 rs. za źrebaki roczne; 2) d. 10 czerwca w Grodnie z nagrodami 150 rs. za źrebaki i klacze od lat 4 do 6 i 250 rs. za źrebaki roczne; 3) d. 26 sierpnia w Zelwach, w pow. wołkowyskim gub. suwalskiej, z nagrodami za klacze 100 rs. i za źrebaki 150 rs.

Wypadki. Z niedzieli ubiegłej na poniedziałek oddawna niepamiętne w grozie i rozmiarach trzęsienie ziemi nawiedziło Austryę południową i Włochy górne, objęło Alpy południowe i wschodnie, Karst, Styryę, Krainę, Chorwacyę, Dalmacyę i Bośnię, aż do Raweny, Florencyi i Rzymu, na północ zaś dosięgło Salzburga i Wiednia. W Lublanie przeszło trzydzieści gwałtownych wstrząśnień podruzgotało mnóstwo domów, z nich niektóre runęły, muzeum zniszczone, mury teatru popękały. Chorych umieszczono w namiotach. Tryest, Rieka, Zagrzeb i wiele innych również ucierpiały. Wszędzie ludność przerażona powybiegała na wpół naga i przez parę dni obozowała [illegible]

— W Howrze na parowcu „La Her“ wybuchło 1,800 ton nafty. Statek i parę łodzi zupełnie spłonęły.

— O trzydzieści wiorst od Astrachania spotkały się statki „Krestianin“ i „Artielszczyk.“ Ten ostatni zatonął.

Zmarli. Władysław Frankowski, doktór medycyny, w Charkowie d. 13 b. m. Położył zasługi nietylko jako

lekarz, uczony, lecz i filantrop. Urodzony r. 1819 w pow. mozyrskim gub. mińskiej, po skończeniu szkoły pięcioklasowej w Mozyrzu wstąpił do Akademii lekarskiej w Wilnie, po roku przeniósł się do Charkowa i tam po skończeniu medycyny został ordynatorem kliniki terapii i akuszeryi. Od r. 1843 zaczął leczyć ubogich zupełnie darmo, po zapisaniu się do miejscowego Towarzystwa dobroczynności, które w r. 1882 mianowało go swym członkiem honorowym. Za jego staraniem miasto urządziło szpital dziecięcy.

Odezwa do Ziemian w Kraju.

Imieniem Komitetu kolonii letnich zwracam się do ziemian naszych z gorącą prośbą o udzielenie gościny na lato dla dwóch kolonii dzieci chrześciańskich.

Wskutek śmierci ś. p. Zofii Wessiowej, tracimy pomieszczenie w Żyrzynie.

Kolonia w Chełmie pod Gorzkowicami urządzoną być również nie może, z powodu innego przeznaczenia lokalu. Z tego powodu i z powodu zbyt szczupłego pomieszczenia w Bartnikach, brak nam miejsca dla 75 chłopców (3 sezony czterotygodniowe po 25 chłopców) i dla 120 dziewcząt (3 sezony czterotygodniowe po 40 dziewcząt). Brak gościny grozi 195 dzieciom, już wybranym, pozbawieniem pobytu wiejskiego, który może na całe życie zbawczym dla nich będzie.

Pożądane są pomieszczenia w odległości nie większej niż 2 godziny od linii dróg żelaznych Wiedeńskiej lub Nadwiślańskiej.

Bliskość lasu i kąpieli jest konieczną. Warunkiem niezbędnym jest możność przywiezienia i odwiezienia dzieci darmo lub za opłatą umiarkowaną, furami drabiniastemi i t. p. od stacyi drogi żelaznej. Całe urządzenie wewnętrzne kolonii, sprawienie mebli, statków i całkowite utrzymanie dzieci i służby ciąży na kasie kolonij letnich. Oprócz izby sypialnej lub paru izb łącznych (dla chłopców na 25 łóżek, dla dziewcząt na 40) konieczna jest kuchnia, izdebka dla gospodyni, izdebka na sypialnię służby, a nadto pomieszczenie na spiżarnię i na skład odzieży i bielizny dzieci. Jeżeli izby sypialne są szczupłe, to potrzebnem jest pomieszczenie pod dachem na stoły i ławy, jako jadalnia.

O łaskawe jak najśpieszniejsze zaofiarowania gościny upraszam pod adresem niżej podpisanego (Miodowa 3).

St. Markiewicz.

— Komitet zarządzający kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia d-ra Józefa Mianowskiego, w wykonaniu testamentu ś. p. d-ra Zenona Pileckiego, mając do rozporządzenia procenty za lata ubiegłe od dnia śmierci testatora, postanowił na posiedzeniu w dniu 23 b. m., przyznać wynagrodzenie za prace naukowe, zasługujące na wyróżnienie, następującym autorom:

1). Samuelowi Adalbergowi, za dzieło „Księga przysłów polskich."

2). I. Badowskiemu, za dzieło „Geometrya Elementarna."

3). Konstantemu Górskiemu, za dzieło „Historya piechoty polskiej."

4). Waleremu Gostomskiemu, za pracę „Arcydzieło poezyi polskiej."

5). Aleksandrowi Jabłonowskiemu, za szereg prac historycznych, z których ostatnią była „Ukraina w XVI-ym wieku pod względem statystyczno-geograficznym."

6). Władysławowi Janowskiemu, za pracę „Przyczyny powstawania ropienia w świetle pojęć współczesnych."

7). Gabryelowi Korbutowi, za pracę „Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym."

8) Aleksandrowi Krausharowi, za prace „Krzysztof Arciszewski" i inne prace historyczne.

9). Edwardowi Porębowiczowi, za pracę „Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polskiej."

10). Władysławowi Smoleńskiemu, za prace „Przewrót umysłowy w Polsce w XVIII-ym wieku."

W końcu kwietnia wyjdzie książka
LUDWIKA KRZYWICKIEGO.
Za Atlantykiem.
Przedpłata w Redakcyi Prawdy rs. 1 kop. 85; na koszty przesyłki należy dołączyć kop. 20.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 7 Апрѣля 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.